MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 13 WARSZAWA, 27 MARCA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

OBECNE PRZESILENIE A LITERATURA I SZTUKA

W OSTATNICH czasach pisze się wiele o ciężkiem położeniu, w jakiem znaleźli się ludzie pióra. Urządza się ankiety, wykazujące, że byt materjalny literatów i artystów jest mocno poderwany. Narzeka się na to, że publiczność nie kupuje książek. Coprawda, niektórzy ze skarżących się znajdują wyjaśnienie tego kryzysu w rzekomym wyzysku, którego dopuszczają się wydawcy. Ale i z wydawcami rownież jest kiepsko. Gdyby wydawcy tak wiele mieli zarabiać na książkach, to byliby bardziej skłonni do ich wydawania. A przecież równocześnie stwierdza się, że na cenne nawet rzeczy, interesujące nietylko specjalistów, trudno jest znaleźć nakładcę. W czem innem więc musi tkwić główna przyczyna.

Nie można jednak twierdzić, by nasi literaci i artyści zaniedbali klasycznego dzisiaj narzędzia obrony swoich interesów. Mają już od paru lat związki zawodowe. Zorganizowali się na wzór wyzyskiwanego proletarjatu, poczuli się w znacznej swojej części solidarnymi z klasą robotniczą. Ale jakoś trudno zdecydować się, przynajmniej literatom, na strajk. Tymczasem strajkuje publiczność, nie kupując książek. Związki artystów teatralnych okazały wiele energji, postawiły ciężkie warunki wyzyskiwaczom—dyrektorom teatrów, zażądały wysokich wynagrodzeń. Krótko jednak trwały te tłuste lata—po pewnym czasie bankrutujące teatry albo się zamykają, albo oddają swe lokale kooperatywom aktorskim, którym idzie bardzo nieświetnie; od czasu do czasu czyta się o tem, że ten lub inny artysta teatralny popełnił samobójstwo z nędzy.

Nie pomogły więc związki zawodowe. Czy może pomóc państwo? Niektórzy pisarze zwracają się do państwa z pretensją, że za mało dba o literaturę i sztukę. Ale czy naprawdę państwo może dać skuteczną pomoc ludziom, pracującym w tej dziedzinie? Przypuśćmy nawet, że pozwala na to stan finansowy państwa, to jednak trudno sobie wyobrazić większy nonsens, jak upaństwowienie literatury i sztuki. Przestaną one wtedy być twórczością, a staną się propagandą, polityką, czem kto chce, czyli poprostu zejdą na marne. Prawdziwa twórczość duchowa wymaga wolności. Twórczość subwencjonowana, czy wprost utrzymywana przez państwo, musi służyć celom tych, którzy pozostają u władzy. Państwo może przyznać emeryturę zasłużonemu pracownikowi, ale nie może poddawać ocenie wszystkich tych, którzy dopiero się wybijają, którzy walczą o swoje nowe idee, bo wówczas dojdziemy do premjowania partyjnej miernoty. *Spiritus flat ubi vult*—trudno go zamknąć w biurokratyczne ramy opieki państwowej.

Zagadnienie jest bardzo proste. Literaturze i sztuce będzie dobrze, gdy społeczeństwo będzie odczuwało potrzebę literatury i sztuki i gdy będzie miało czem tę potrzebę zaspokoić. Jeżeli mówi się o tem, że dzisiaj ludzie nie kupują poważnych książek, że nie chodzą za gotówkę do teatrów, że nie kupują obrazów, to zaszło jedno z dwojga: albo obniżył się poziom potrzeb kulturalnych społeczeństwa, albo też to społeczeństwo zbiedniało i nie ma za co zaspakajać swoich potrzeb kulturalnych. Oczywiście, że może działać też równocześnie i jedna i druga przyczyna.

Niewątpliwie w wielu kierunkach obniżył się poziom potrzeb duchowych społeczeństwa. Pogoń za płytką sensacją, erotomanja, bardziej popłacają, niż wartościowa literatura i sztuka. Dzisiejsza panienka częściej zagląda do dancingu, niż do książki. Z drugiej jednak strony rozszerzył się rynek literacki i artystyczny, książka polska może łatwiej, niż przedtem, dotrzeć do każdego zakątka ziemi polskiej. Mamy też więcej, niż przedtem „oficjalnej inteligencji“, jeżeli się w ten sposób wyrazić wolno. Mamy całą masę szkół, zakładów naukowych, dziesiątki tysięcy nauczycieli, którzy szczepią społeczeństwu duchowe po-

trzeby. To też głównego źródła zastoju nie należy szukać w tem, że brak jest duchowych potrzeb, lecz raczej w tem, że ci zbiednieli, którzy odczuwają potrzeby wyższego gatunku.

Porównajmy dzisiejsze płace i dochody z przedwojennemi. Otóż co się okaże? Zmalały dochody warstwy średniej, obniżyły się płace pracowników umysłowych wszelkiego rodzaju, a natomiast daleko mniej zmalały, a nawet częściowo wzrosły płace pracowników fizycznych. Zaś ci pierwsi właśnie kupowali książki, chodzili do teatru na poważne sztuki, nabywali nawet czasem obrazy, a ci drudzy nie kupują książek ani obrazów, a w najlepszym razie chodzą do kinematografu. Trudno się dziwić ciężkiemu położeniu literatury i sztuki, jeżeli nauczyciel gimnazjalny, który kończył uniwersytet, ma mniejszą płacę, niż maszynista kolejowy lub konduktor tramwajowy. Jeżeli zrujnowane zostały oszczędności warstwy średniej, to cierpi na tem także i literatura i sztuka. Dla jednych książka staje się zbytkiem, na który nie każdy może sobie pozwolić, drudzy zaś nie zajmują się książkami.

W społeczeństwie wzrosła ogromnie ilość potrzeb. Warstwy, które przedtem miały potrzeby bardziej pierwotne, obecnie upodobniają się do warstw wyższych—proletarjat naśladuje burżuazję. Niestety, podniosły się przeważnie potrzeby materjalne. Istnieje dążność do lepszego komfortu życiowego, do lepszego urządzenia i umeblowania mieszkania, ale nie idzie z tem w parze dążność do lepszego umeblowania głowy. Pierwiastki materjalne wysuwają się na plan pierwszy. Równocześnie z tem czyni postępy zasada, że skala zarobków poszczególnych warstw ustala się nie według wewnętrznej wartości ich pracy, nie według hierarchji, na której czele stoi praca umysłowa, lecz na zasadzie siły materjalnej, którą reprezentują poszczególne warstwy i zawody, walczące o poprawę swojego bytu. Podstawą organizacyjną społeczeństwa stał się w bardzo znacznym stopniu związek zawodowy, a strajk głównem narzędziem walki. Im te metody większe święcą tryumfy, tem gorzej jest z literaturą i sztuką. Brutalna walka o poprawę bytu wysuwa na czoło te zawody, które zaspakają potrzeby najbardziej brutalne, najbardziej pierwotne i nagłe. Wtedy na górze nowej hierarchji społecznej znajdą się ci, którzy oświecają miasta — ale nie książkami, lecz gazem lub elektrycznością. Drukarz, który składa dzienniki, ma w tych warunkach lepszą pozycję, niż literat lub uczony, piszący książki. Albowiem dziennik musi ukazywać się codzień, a książka może się ukazać za lat parę — lub wogóle się nie ukazać.

Zaszło więc wyraźne przesunięcie się siły potrzeb na niekorzyść wyższych potrzeb umysłowych, równocześnie zaś nastąpiło ogólne zubożenie. Redukuje się skalę życiową, nic dziwnego tedy, że literatura i sztuka pierwsza pada ofiarą. Państwo nasze było dotychczas organizowane na podstawach socjalistycznych, z lekceważeniem wytwórczości i z niechęcią do kapitału. To co jest dzisiaj, jest wyraźną konsekwencją socjalistycznego pojmowania państwa. Socjalizm obiecuje bardzo wiele. Według jego zapowiedzi, w państwie socjalistycznem ma nastąpić prawdziwy rozkwit literatury i sztuki; zmniejszy się bowiem ilość pracy fizycznej, przypadającej na jednostkę, a więc wszyscy będą mieli wiele czasu, by oddawać się duchowym zajęciom, zaś ogólna pomyślność gospodarcza pozwoli wszystkim zaspakajać duchowe potrzeby. W rzeczywistości jednak socjalizm oznacza niwelację, wysunięcie na pierwszy plan potrzeb materjalnych. Proletarjat, który skutecznie może przeprowadzać strajki, jest w lepszem położeniu od „umysłowego proletarjatu", który organizując się nawet na wzór zwyczajnych robotników, zostaje w walce o byt zepchnięty na plan bardzo daleki.

Jeden z pisarzy obozu lewicowego, narzekając na biedę, która dotknęła literatów i artystów, dał wyraz swojej rozpaczy z powodu tego, że nie wie, co się stanie z jego dziećmi, których nie jest w stanie wychować na odpowiednim poziomie. Można mu dać jedną radę. Jeżeli wierzy naprawdę w panowanie socjalizmu, o które zresztą walczył, niechaj nie kształci swoich dzieci w swoim zawodzie, lecz postara się umieścić je przy tramwajach, lub w elektrowni czy gazowni. Albo też niechaj one w przyszłości drukują książki, zamiast je pisać.

Tu l'as voulu, Georges Dandin!

R. RYBARSKI

KSIĄŻKA

KSIĘGARZE i wydawcy są u nas od pewnego czasu zaalarmowani: rynek księgarski się kurczy, sprzedaż nawet w najlepszych miesiącach ubiegłego sezonu zawiodła zupełnie, obecnie zaś spadła do poziomu jeszcze niewidzianego. A stało się to nagle, po paru latach doskonałej konjunktury, kiedy „wszystko szło", jak nigdy. Stosują tedy księgarze środki heroiczne, ogłaszają „tygodnie taniej książki", w których decydują się sprzedawać wyranżerowany materjał o 30% taniej, niż normalnie. Czy to pomoże, niewiadomo. Z zasadniczego punktu widzenia objaw kurczenia się pojemności rynku księgarskiego nie jest zjawiskiem, zasługującem na szczególną uwagę: jest częścią ogólnego kryzysu ekonomicznego występującą tem wyraźniej, że książka u nas jest zbyt droga. Zastoju w księgarstwie nie byłoby może wcale, gdyby wydawcy i sprzedawcy potrafili przemóc odwieczną rutynę, panującą w tym fachu i dostosować swe metody produkcji i sprzedaży do zmienionych warunków. Wymagania życia zmuszą ich prawdopodobnie do tego; naogół jednak stan dzisiejszy można uważać za przemijający tem pewniej, że właśnie przed paru lat byliśmy świadkami niebywałej konjunktury w księgarstwie, dowodzącej, że potrzeba książki u nas wzrasta.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że pomijając chwilowe odchylenia w tę lub inną stronę, zasadniczo biorąc nasze zapotrzebowanie na książkę jest wogóle bardzo małe, a jeżeli pominiemy literaturę t. zw. piękną, to nawet zawstydzająco i niebezpiecznie małe. Pewien „przyrost naturalny" oczywiście istnieje, jednak stan rzeczy jest tak zły, że zostawiać wszystkiego naturalnemu biegowi niepodobna i konieczny jest duży wysiłek, żebyśmy mogli jaknajprędzej dojść do norm, nietylko godnych na-

rodu kulturalnego, ale też temu narodowi niezbędnych. Wysiłek musi być robiony oczywiście przedewszystkiem przez wychowawców młodzieży i jeżeli przy dzisiejszych planach reformy nauczania słusznie się mówi wiele o kształceniu do zawodów praktycznych, o innym planie studjów średnich dla młodzieży, która ma się poświęcić pracy czysto naukowej, a innym dla tej, która ma pójść drogą wiedzy stosowanej, to jednak niezbędne jest, żeby w obu wypadkach szkoła nasza wpajała w swych wychowanków poszanowanie i zrozumienie wartości wysiłku myślowego, wartości nauki.

Pod tym względem większość nawet t. zw. inteligencji przebywa u nas w stanie naiwnego barbarzyństwa. Z wyjątkiem dzielnicy małopolskiej, gdzie istnienie polskich uniwersytetów i normalniejsze stosunki w szkole średniej zapobiegły w znacznej mierze wypaczeniu pojęć, stosunek nasz do nauki był zgoła negatywny. Karjera naukowa nie dawała utrzymania, w społeczeństwie naogół biednem, rujnowanem orężnemi i ekonomicznemi walkami z wrogiem, zapanował gruby utylitaryzm, rozumiejący tylko bezpośrednie korzyści materjalne, a zbyt krótkowzroczny, żeby dostrzec fakt, że tylko wysiłek umysłowy może stwarzać nowe wartości. Człowiek, pragnący poświęcić się pracy czysto naukowej, uważany był u nas za lekkoducha, dziwaka, bodaj nieszkodliwego warjata. Panowało uwielbienie dla „praktycznego fachu" w najciaśniejszem tego słowa znaczeniu. Wszelka teorja uważana była za jakąś dość nawet szkodliwą fanaberję. Była przez pewien czas wprost moda na przerywanie studjów, udawanie się na praktykę do fabryki, żeby po przejściu może jeszcze jakiegoś kursu w Niemczech wylądować, jako majster w przędzalni lub tkalni. Niewątpliwie wiele zdolności w ten sposób się zmarnowało i wiele stworzyło się zdelasowanych egzystencyj. Stan przemysłu, w którym większość młodzieży Kongresówki musiała szukać karjery życiowej, sprzyjał takiemu poniewieraniu teorji, nauki. Liczni właściciele fabryk, dorobkiewicze w pierwszem dopiero pokoleniu, sami nie posiadający wykształcenia, zabezpieczeni przed zbyt dotkliwą konkurencją wysokim wałem ochrony celnej, z lekceważeniem wogóle odnosili się do walorów umysłowych. Znam wypadek, że w olbrzymim zakładzie przemysłowym, zatrudniającym normalnie 6.000 robotników, szefem całej służby mechanicznej, gospodarki cieplnej i popędowej był „praktyk", mający kwalifikacje dobrego montera, a jego pomocnikiem—inżynier, wychowanek doskonałego wyższego zakładu naukowego. To też przemysł nasz, mimo dobrego prosperowania, nie zaznaczył się prawie żadnemi samodzielnemi zdobyczami, wynalazkami, ulepszeniami, mimo, iż mieliśmy bardzo potężne ogniska tego przemysłu, dostatecznie zasobne na eksperymenty i badania. Z reguły stosował z opóźnieniami to, co wynalazł zachód i na tem koniec. Wyjątki są tak nikłe, że nawet o nich mówić nie warto. Sławiony dziś często (przez sentyment do dawnych czasów, które zawsze były lepsze) przedwojenny okres rozkwitu przemysłu był w istocie okresem jałowego naśladowania cudzych wzorów. Czy dziś nam to wystarczy? Kryzys obecny i na to pytanie daje po części odpowiedź.

Jeżeli chcemy ostać się jako państwo samodzielne, to musimy być zdolni do samodzielnego rozwiązywania wszystkich zagadnień, nie tylko politycznych, ale i gospodarczych, technicznych, naukowych. Nikt ich za nas na naszą korzyść nie rozwiąże. Prawda ta stosuje się nietylko do gazów trujących, które musimy umieć fabrykować, lecz do całego wogóle życia. A gdzie szukać narzędzia, skutecznego we wszystkich wypadkach i potrzebach?—Oczywiście u źródła, w podniesieniu i kultywowaniu nauki.

Sąsiadzi nasi ze wschodu przedsięwzięli kolosalny eksperyment nowego urządzenia społeczeństwa i doprowadzili do niebywałej katastrofy, a główną jej przyczyną jest zasadniczy fałsz teorji Marxa, stawiającej na ołtarzu pracę fizyczną, choćby to było czerpanie wody sitem, nie dostrzegającej zaś roli umysłu i natchnienia. Z drugiej strony, na dalekim od nas zachodzie, w „praktycznej" Anglji, komisja państwowa), powołana do zbadania sposobów odrodzenia przemysłu węglowego, (który przestał się opłacać i utrzymuje się od pewnego czasu dzięki zapomogom ze strony Państwa), doszła do przekonania, że zaradzić katastrofie mogą tylko uczeni, a to przez znalezienie nowych metod wydobywania, czy zużytkowywania energji cieplnej węgla, i — poza tymczasowemi środkami zaradczemi — poleca, jako krok zasadniczy, utworzenie i odpowiednie wyposażenie pracowni badawczych. Chwila zastanowienia nad temi dwoma przykładami wystarczy, aby nabrać przeświadczenia o konieczności wytępienia pokutującego u nas wciąż jeszcze barbarzyńskiego mniemania, jakoby nauka była czemś od życia oderwanem, jakimś luksusem, a nie tego życia mistrzynią. Trzeba, żebyśmy się stali „narodem książki".

Takim narodem w wysokim stopniu są Niemcy, których nasi „praktycy" tak chętnie i często słusznie stawiają nam za wzór. Mamy jednak bliższy jeszcze przykład w innym narodzie, rozsypanem po całej ziemi, który sam siebie nazywa „narodem księgi". Gdy się zastanawiam nad temi rzeczami, staje mi przed oczami obrazek, widywany codziennie prawie w czasach wczesnej młodości. Było to w jednym z naszych „portów" nad Wisłą, spławiających w owe czasy znaczne jeszcze ilości zboża do Prus. Jak rok prawie długi, z wyjątkiem zimowych miesięcy, stawały przy brzegu berlinki i zabierały z poblizkich śpichlerzy zboże. Proces ładunkowy był bardzo prymitywny, lecz funkcjonował sprawnie: oto po grubo miałkim piaskiem wysypanej ścieżce od śpichlerza do berlinki biegł szybkim truchtem szereg bosych drabów, a każdy dźwigał na karku i na barach korzec pszenicy, przytrzymując prawą dłonią końce niezawiązanego worka. Chłopy były istotnie na schwał, niosły owe korczyki, jak zabawkę, a musiały się tem rzemiosłem trudnić od niepamiętnych czasów, gdyż kościec ich doznał już pewnych zmian i po bardzo spadzistych a szerokich ramionach można było takiego specjalistę poznać zdaleka. Pędził więc jeden za drugim, wpadał na berlinkę, przechylał się nad otwartym przedziałem ładunkowym i puszczając prawą rękę wysypywał worek, poczem powoli, ciężkim krokiem wracał inną drogą do śpichierza, żeby po otrzymaniu nowego worka znów popędzić z nim na berlinkę i tak w kółko. Robota bardzo ciężka i wątpić należy, czy lukratywna, przynajmniej żaden z wykonywających ją nie robił wrażenia życia w jakim takim dostatku. A koło tych ciężko pracujących ludzi, z których często, mimo chłodu jesiennego, pot lał się strumieniem, przechadzali się żydkowie, urzędnicy pana Golda, właściciela kantoru handlu zbożem i spichlerzy, gładząc brody i przynaglając do pracy. Zdaje się, że przy wszystkich stadjach obrotu zbożem, od orki i siewu aż do ładowania na berlinkę, zawsze był jakiś aryjczyk, który ciężko pracował i jakiś pan Gold, lub jego funkcjonarjusz, który przy tem tylko gładził brodę i kalkulował zyski. Bo i cóż taki aryjczyk miał za wyposażenie na drogę życia? Umiał porwać na plecy korzec pszenicy, umiał potem przepić część zarobku i sprawszy żonę, położyć się spać. Całą organizacyjną stronę interesu załatwiał za niego pan Gold i do jego też kieszeni szły główne zyski, tak że wielu „starszych braci" nowego tragaża, arjów produkujących zboże na folwarkach, poszło przy gorszej konjunkturze z torbami, a pan Gold zarabiał zawsze i pro-

speruje pewno do dzisiaj, chociaż warunki się z gruntu zmieniły.

Często mówi się o Żydach, że wybierają zawsze pracę lekką, unikają wysiłku fizycznego, a mówi się to z niechęcią, nawet z odcieniem pogardy, jakby to było postępowanie zdrożne. Żydzi tymczasem wyzyskują tylko obrotność i giętkość swego wygimnastykowanego umysłu, podejmując zawsze, ile tylko mogą, rolę organizatorów, kierowników strumienia bogactw. Wśród pospólstwa żydowskiego „uczony" jest szanowany narówno z „bogaczem". Nic to nie znaczy, że jego uczoność ogranicza się do zgłębienia zagadek talmudu i innych ksiąg zakonu. Nawet taka uczoność nie jest bezpłodna, daje bowiem tę wyższość sprawności umysłowej, jaką posiada każdy niemal Żyd w porównaniu z otoczeniem nieżydowskiem, stojącem na tym samym poziomie cywilizacyjnym. Zdumiewająca niejednokrotnie u masy żydowskiej zdolność zrozumienia nowej sytuacji, przystosowania się do niej i wyciągnięcia możliwie największych korzyści, jednem słowem znakomite zaopatrzenie do walki o byt, zawdzięczają Żydzi niewątpliwie w znacznej mierze temu poszanowaniu „uczoności", czyli pracy i zdolności umysłowej. Podziwiamy nieraz Żydów na arenie światowej, ich wpływy, jakie mimo swej słabości liczebnej, wywierają. Przypisujemy im często zalety, jakich nie mają zupełnie, a nie oceniamy należycie tej właśnie cechy, w której leży być może rozwiązanie zagadki ich powodzenia. Z przekąsem traktujemy żydowską ciekawość wszelkich „nowych prądów" w literaturze, sztuce i nauce, słusznie podnosimy i wyśmiewamy wrodzone ich tandeciarstwo, ale czyż samo to zainteresowanie nie jest — mimo wszystko — objawem zrozumienia doniosłości tych zjawisk, chęci ich poznania i wyzyskania? Nie mając umysłów twórczych, są Żydzi pierwsi w wykorzystywaniu twórczości innych.

Nam mimo, większych zdolności naszej rasy, daleko dziś jeszcze do tej ruchliwości umysłowej. Brak nam ciągle szerszego zainteresowania zdobyczami ducha ludzkiego, a co za tem idzie również mały w tych zdobyczach udział. W obecnych naszych warunkach ten stan może, a wobec czekających nas zadań, powinien się jaknajprędzej zmienić; a oznaką następującej zmiany będzie zwiększający się popyt na poważną książkę. Na wskaźnik ten trzeba będzie baczyć bardzo pilnie, bo będzie on sprawdzianem systemu wychowania młodych pokoleń, sprawdzianem tego, czy w młodych głowach stara maksyma „chcesz niepodrwić głową, jedz pieczeń wołową" ustępuje wreszcie miejsca jakiejś bardziej nowoczesnej zasadzie.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

O TRZECH POLSKICH „FAUSTACH"

II

NIECO niżej cudowny czterowiersz, o niezwykłem napięciu uczucia, wybucha takim krzykiem łaknącego człowieczeństwa:

O gibt es Geister in der Luft,
Die zwischen Erd, und Himmel herrschend weben,
So steiget nieder aus dem goldnen Duft
Und führt mich weg zu neuem, buntem Leben!

(W a c h h o l z, str. 52):

Jesli was duchy, co w lotnej przestrzeni
Pomiędzy ziemią a niebem krążycie,
Głos mój dochodzl, to zstąpcie z promieni
Światła i w nowe wprowadźcie mnie życie!

(K o ś c i e l s k i, str. 53):

Jeśli w przestworzu duchy krążą,
Które swą władzą niebo z ziemią wiążą,
Niechaj opuszczą swe wiotkie ukrycie,
By mnie prowadzić w nowe, barwne życie.

(Z e g a d ł o w i c z):

O jeśli na powietrzu są niewinne duchy,
wiążące między niebem a ziemią łańcuchy,
jeśli jesteście—wołam—spłyńcie ku mnie skrycie!
i prowadźcie na nowe, wielkie, bujne życie!

Czuję się zwolniony z obowiązku dowodzenia, że słowom Zegadłowicza wierzy się, iż budzą odzew echa w sferach duchów i że to „wołam" jest prawdziwe i uprawnione krwią ducha i że na takie wołanie m o ż e zjawić się wołany.

Przyjrzyjmy się najsławniejszej strofie „Fausta":

Geschrieben steht: „Im Anfang war das Wort!"
Hier stock ich schon. er hilft mir weiter fort?
Ich kan das W o r t so hoch unmöglich schätzen,
Ich muss es anders übersetzen,
Wenn ich vom Geiste recht erleuchtet bin.
Geschrieben steht: Im Anfang war der S i n n.
Bedenke wohl die erste Zeile,
Das deine Feder sich nicht übereile!
Ist es der S i n n, der alles wirkt ukd schaft?
Es solte stehn: Im Anfang war die K r a f t!
Doch, auch indem ich dieses niederschreibe,
Schon warnt mich was, dass ich dabei nicht bleibe.
Mir hilft der Geist! auf einmal seh ich Rat
Und schreib getrost: Im Anfang war die T a t!

Słowa te są proste, kute, niezmienne, pozbawione najmniejszej arabeski. Prostota jest cnotą w przekładaniu najtrudniejszą. W a c h h o l z (str. 58) tak tłumaczy:

Tu napisano: „Na początku było słowo".
I już u wstępu mam trudność gotową.
Nie mogę słowa tak wysoko cenić,
Muszę w przekładzie je na inne zmienić.
Jeśli mi ducha dopomaga siła,
To czytać muszę: „Z początku Myśl była".
Jednakże trzeba nieco się wysilić,
By się w pośpiechu znowu nie pomylić.
Czy to jest myśl, co wszystko nam stworzyła?
Nie na początku, sądzę, była siła!
Lecz gdy te słowa już w mój sekstern kładę,
Jakaś przestroga daje nową radę.
Duch mnie wspomaga! Dochodzę do wątku,
Piszę z radością: czyn był na początku!"

Tłumacz nie zauważył, że po 4-ym wierszu jest przecinek, a po 5-ym kropka, i dzięki odwrotnemu rozmieszczeniu interpunkcji fałszywie złączył wiersz „Jeśli mi ducha dopomaga siła" z wierszem następnym, zamiast poprzednim. Wiersz drugi jest niezgrabnie dorymowany. Wiersz 7 i 8 godne są pilnego żaka, odrabiającego lekcje („Jednakże (!) trzeba nieco (!) się wysilić" i t. d.), ale nie poważnego filozofa Fausta. Ów „sekstern" jest dziwną niespodzianką. „Przestroga" jakżeż może „dawać radę"? „Getrost" oznacza śmiałość, pewność siebie, równowagę— ale nie „radość". W końcu zbyt dosłowne przełożenie słów: „Ist es der Sinn, der alles wirkt und schafft?" —

dało tak przykry germanizm: „Czy to jest myśl, co wszystko nam stworzyła?“

Kościelski (str. 58) tak wychodzi z opresji:

Pisano jest: „W początku było słowo“.
Cóż czynić? Trudność już widzę gotową.
Przecie nikt słowa cenić tak nie może;
A więc inaczej to przełożę,
Jeśli się zdołam w strefę ducha wznieść.
Pisano jest: „W początku była treść“.
Te pierwsze słowa zważ roztropnie,
Abyś nie pisał zbyt pochopnie.
Czyv wszystko treść zdziałała i stworzyła?
Powinno być: „W początku była siła“.
Lecz również teraz pióro me się wzdraga;
Aż nagle czuję, jak duch mię wspomaga.
Mam rozwiązanie bez skaz i bez win,
I piszę już: „Był na początku czyn“.

Wiersze 9 i 10, poza słowem „treść“, przełożone są dobrze. W drugim wierszu ta sama, co u Wachholza, „gotowa“ trudność. Przekład nagół jest lepszy od pierwszego, biorąc rzecz formalnie. Lecz zawiera okropne uchybienie, strzał kulą w płot, w przełożeniu słowa „Sinn“. Najlepiej oddaje go niepolski „sens“, zresztą jest jedno tylko słowo: „myśl“. Ale „treść“ (Inhalt) jest pojęciem znacznie szerszem, filozoficznie pojemniejszem, w powyższym związku nie tłumaczącem się zupełnie! I wreszcie przedostatni wiersz, te ni w pięć ni dziewięć wyskakujące jak pajac z pudełka „skazy“ i „winy“, dokrojone na łeb na szyję do „czynu“, aby tylko był na końcu i miał rym!

Zegadłowicz daje sobie radę, używając określeń, bardziej prawdopodobnych w monologu samotnego mędrca:

„Na początku było Słowo“ —
utknąłem! Dziwną to przemawia mową —
czyż Słowo może wszechświat wyłonić i stworzyć?
Muszę inaczej przełożyć!
Jeślim dobrze zrozumiał — w brzmieniu tego wątku
jest sens, że jeno Myśl była z początku.
Lecz niechże dociekania treści nie zakurczą —
może Myśl sama w sobie być wszechtwórczą? —
Sprawa jest coraz bardziej mętna i zawiła —
a może — na początku była Siła?
Już chcę napisać — a jednak coś broni —
czy się w tem słowie część treści nie trwoni?
Duch mi objawił sens wieków porządku,
już wiem — i piszą oto: Czyn był na początku!

Zaraz potem Duchy w krużganku, przychodzące w pomoc uwikłanemu w psiej skórze szatanowi:

Drinnen gefangen ist einer!
Bleibet haussen, folg' ihm keiner!
Wie im Eisen der Fuchs,
Zagt ein alter Höllenluchs
Aber gebt acht!
Schwebet hin, schwebet wieder... i t. d.

Wachholz używa takich słów, że trudno nam te duszki brać poważnie: (str. 59):

Tam jednego (!) schwytali!
Nie ważcie się iść dalej!
Tak, jak w paści sprytny miś (!)
Drga (!) tam stary z piekła ryś.
Ale baczność miejcie (!) dzieci (!)... i t. d.

U Kościelskiego jest mniej frywolnie (str. 59):

Jeden z nas schwytany siedzi,
Lecz nie wchodźcie, choć się biedzi.
Tam piekielny wyga zwisł (!)
Jak w żelazie szczwany lis... i t. d.

Jak można szczwać w żelazie lisa?... Potem z wyrazem „straż“ rymuje piękne słówko „wraz“, a „snujcie“ z „falujcie“. .

U Zegadłowicza wieje z tych słów coś z nastroju „Dziadów“:

Niech każdy czuwa—niech nikt tam nie leci,
Bies się zaplątał w sieci!
Latajcie, czuwajcie, krąg zatoczcie bratni,
póki nie wyjdzie z matni.
Często pomagał — z opresji ratował —
czuwajmy, czuwajmy u ścian i u pował.

Niezapomniane w swej mieszaninie grozy, humoru i groteski powitanie Mefistofelesa brzmi tak w oryginale:

MEFISTO: Wozu der Lärm? was steht dem Herrn zu Diensten?
FAUST: Das also war des Pudels Kern!
Ein fahrender Skolast? Der Kasus macht mich lachen

U Wachholza (str. 62):

MEFISTO: Nacóż ten krzyk? czemć mogę służyć panie?
FAUST: Więc takie w pudlu tym było nasienie?
Wędrowny scholar? pusty śmiech mnie bierze.

U Kościelskiego (str. 61):

MEFISTO: Nacóż ten hałas? Czem wolno wam służyć?
FAUST: Więc takie było sedno psie? (sic!)
Wędrowny szkolarz? Rzecz na śmiech zakrawa.

A potem do „psie“ jest rym „ścielę się“. Trudno się pogodzić z psiem „sednem“ i „nasieniem“. U Zegadłowicza brzmi ów djalog następująco:

MEFISTO: Pocóż hałasu tyle? —
Jestem — do stóp się chylę!
FAUST: Więc tuś mi bracie! zmiana taka!
Miast psa mam wędrownego żaka!

Ależ oczywiście! Żak!

Przykłady możnaby mnożyć bez końca. Chór duchów, usypiający Fausta w końcu tegoż obrazu, oddany został przez Kościelskiego i Wachholza (w zbytniej żądzy ścisłości) trywjalniej:

Znikaj ponury
Mroku sklepienia.
Nieba lazury,
Wiosenne tchnienia i t. d.

Mimowoli przypomina się żartobliwy wierszyk Edwarda Odyńca:

Kawa w Spoletto.
I gdyby nie to,
Że chcę tu w rymie
Wspomnieć to imię,
Niema przedmiotu,
By wart kłopotu
Był wspomnieć go tu.

Zegadłowicz całą tę pieśń duchów oddał w pięknym, subtelnym i dźwięcznym poemacie lirycznym, który trzebaby zacytować w całości, aby nic nie uronić.

* * *

Metoda porównawcza jest najlepsza, a nawet jedyna, gdy chodzi o możność oceny wartości przekładów. Ze-

stawienie kilku tłumaczeń jest przytem niezmiernie pouczające. Kroczmy dalej tą drogą.

Barwny djalog przebranego Mefista z Uczniem należy w całości porównać w trzech przekładach, przedewszystkiem wspaniały wywód szatański o logice. Kończy się ta scena uwagą djabła na temat dedykacji „Eritis sicut Deus“:

Folg nur dem alten Spruch und meiner Muhme, der Schlange,
Dir wird gewiss einmal bei deiner Gottähnlichkeit bange.

(Wachholz, str. 97:)

Naśladuj stryja (!) węża, ludzi wroga.
A zadrżysz z swojem podobieństwem Boga!

(Kościelski, str. 91:)

Wskazaniu temu daj słuch, co ongi wąż radził zdradnie,
Przed twem podobieństwem do bóstwa lęk cię raz kiedyś (!) opadnie.

Pocóż takie ceregiele, skoro można tak jasno i wyraźnie, jak Zegadłowicz:

Wierz w to przysłowie i skłaniaj na podszept węża twe ucho,
a już z twem podobieństwem do Boga będzie bardzo krucho!

W piwnicy Auerbacha jurne rozmowy pijackich kamratów, strzelających grubemi dowcipami. Siebel mówi o niewiernej kochance:

Zum Liebsten sei ein Kobold ihr beschert!
Der mag mit ihr auf einem Kreuzweg schäckern;
Ein alter Bock, wenn er vom Blocksberg kehrt,
Mag im Galopp noch gute Nacht ihr meckern!

Jednem słowem: język pijanego młokosa nie przebiera w obrazowaniu. Tłumacz nie ma tu ściśle powtarzać słowa po słowie, lecz oddać winien sprośność atmosfery i nastrój bredni alkoholicznych. Wachholz mówi bardzo kunsztownie i absolutnie na trzeźwo (str. 101):

Niech się djabeł za kochanka zdarzy
I na rozstajnej drodze z lubą gwarzy;
A stary kozioł na Brokenu kopie
Niech jej dobranoc zabeczy w galopie!

Dobry wiersz ostatni zamazany jest filologicznym przekładem poprzednich: „gwarzy“ i t. d. Nie istnieje „rozstajna droga“, są tylko „rozstajne drogi“. Co to jest Brocken — nikt nie wie i nikogo to nie obchodzi (zresztą u Goethego jest: Blocksberg). Kościelski (str. 95) lepiej trafia w ton Siebla:

Niech z wilkołakiem amory nawiąże
I na rozstajnych drogach z nim się gzi.
Cap stary, kiedy z Bloksbergu cwałuje,
Niech jej w galopie dobranoc zabeczy.

A Zegadłowicz jędrniej wyraża ordynarność przekleństwa, przyczem cały obraz (jak wogóle często) i tu przenosi w sferę pojęciową polskiego czytelnika:

Niech ją tam psia mać strzyga pieści
na dróg rozstaju u figury —
lub stary cap z pod Łysej Góry
niech ją wytryka co się zmieści!

Przecież o dosłowność tego „beczenia“ tu chodzić nie może. (Któryś z krytyków twierdził, że Zegałowicz ma zbyt ubogą skalę języka dla oddania niemczyzny Goethego; w świetle zestawień okazuje się cała kruchość tego zarzutu.)

Burszowska zaczepka pod adresem Mefista operuje obraźliwem przysłowiem o mieścinie Rippach i panu Hanse, co ma mniejwięcej dla nas posmak prowokacji: „Te, co tam słychać u was w Pipidówce?“ Kościelski i Wachholz zachowują wierność zewnętrzną i oto jak się dowcip obraca w kompletną pustkę:

Pewnieście późno z Rippach wyjechali
i może z panem Hansem wieczerzali?

Naturalnie potrzebne są w takim razie gwiazdki i komentarze i z Goethego robi się podręcznik. U Zegadłowicza natomiast czytamy:

Tak ostro waszeć z mostu kropi, —
pewnoś dziś popił z Filipem z Konopi?

I tak co krok! Z jednej strony zasuszanie kwiatów poezji w jakiemś nudnem herbarjum, z drugiej podlewanie ich świeżą wodą z ożywczej polskiej krynicy.

Czarownica, poznawszy Mefista, tańczy radośnie (Kościelski, str. 118):

Z radości prawiem (!) obłąkana,
że widzę znów Mości Szatana.

Cóż za wiedźma papierowa, z Radości prawie obłąkana, że...

Nieśmiertelne spotkanie Fausta z Małgorzatą:

Mein schönes Fräulein, darf ich wagen,
Meinen Arm und Geleit Ihr anzutragen?
— — — — — — — — — — — — — — —
Bin weder Fräulein, weder schön,
Kann ungeleitet nach Hause gehn.

Czar i „pointe'a“ tej rozmówki polega na tytule „Fräulein“, na rycerskości wysłowienia amanta i na stanowczem, pełnem niewinności „odpaleniu“ go przez skromną dziewczynę. Nie można polsku rzec „Nie jestem panną“; zresztą „panna“ nie oznacza żadnej wyższości tytułu, jak „Fräulein“ w stosunku do „Magd“ lub prostego „Ihr“.

Odparty atak u Wachholza ma takie brzmienie (str. 134):

Czy nie pogardzisz ma piękna panienko
Mem towarzystwem i tą moją ręką?
— — — — — — — — — — — — — — —
Nie jestem piękna, ani ze mnie dama,
Wracam do domu zawsze tylko sama.

Faust wyraża się dziwnie, podreślając, że tę rękę jej oddaje, a nie tamtą, jest przytem sztuczny z tem „ma“ i „mem“, — a Małgosia widać że jest „zawsze tylko sama“, bo nie umie odpowiadać na pytania: nikt nie twierdził, że jest damą!

Kościelski (str. 123) inaczej:

Piękna panienko, czy się ważyć mogę
Podać jej ramię z opieką na drogę?
— — — — — — — — — — — — — — —
Jam proste dziewcze i nie piękna wcale,
Do domu trafię doskonale.

Doskonały jest tylko wiersz ostatni. Osobliwe nieco jest to „ramię z opieką“. Na zapytanie powinna Małgosia odpowiedzieć: „Nie jestem panienką“ — bo przecież Faust nie mówił, że nie jest prostą. No i patetyczność tego „jam“!

Zegadłowicz znakomicie oddał dworskość zaczepki Fausta i prostotę rekuzy:

Piękności twej, nadobna pani,
moją osobę składam w dani!
— — — — — — — — — — — —
Animci pani, ni nadobna —
przystojniej wracać mi zosobna.

WITOLD HULEWICZ

Z PISM STAREGO ZAKONU

FRAGMENT PRZEKŁADÓW

Poganów przyjęcie a Żydów odrzucenie: ale zachowawszy ich niewiele z ostatka, porażka tym, którzy Zakon Boży odrzucili, a pociecha tym, co Bogu wiernie służą.

Ci, co się dotąd nie pytali o Mnie,
Dziś mnie szukają. A zaś wiarołomnie
Szukać mnie nie chcą Moi niby słudzy.
Więc teraz owej czerni, dotąd cudzej,
Imienia Mego Objawienie święcę!
Czas Ja niemały wyciągałem Ręce
Ku tym, co drogi lekceważąc Boże,
Samopas w grzechu jęli iść bezdroże.
Mam go na oczach w Moim słusznym gniewie
Ten lud odstępny, który o Mnie nie wie,
Lecz się bożyszczom obcym hardy kłania,
Przez wstrętne wiernym czcząc ich ucztowania.
— Precz Ty idź od nas! — bluźnią nie daremnie.
Bom Ja im odrzekł: — Wy to, precz odemnie!
Byście potęgą Światła Mych promieni
Jak ogniem byli tknięci i strawieni!
Żem nie przemilczał waszych zdrad, to zato
Należną sobie cieszcie się odpłatą!
Wszyscy ci, którzy w swej ślepocie srogiej
Mając prawego, czczą nieprawe Bogi,
Wiedzcie: iż Niebo w swej pamięci chowa
Ten rokosz! — To są właśnie Pańskie słowa.
Lecz oraz dodał: — Jako w winnem gronie
Jagoda bywa, która zdrowiem płonie,
Tak że z radością patrząc w nią, mówicie,
Iż błogosławieństw z niej wytryska życie:
Tak ja, gdy z Rąk Mych przyjdzie brać wam płace,
Mych wiernych w obcym tłumie nie zatracę.
Owszem, w Jakubie uczczę mą jagodę
A dziatwę Judy w błogi kraj powiodę,
Gdzie nie kto inny tylko oni sami
Prawowitymi będą dziedzicami.
Tam dla tych, którzy ku Mnie wznieśli oczy,
Dostatek wszelki skarby swe roztoczy.
Zaś drudzy, którzy obce Bogi czcicie,
I zamiast w Świętej Góry Mojej szczycie,
W dole, ślepemu powodzeniu gwoli
Czołem bijecie — własnej swej niedoli
Przedziwnie chętni — ludu ty zbrodniczy,
Wiedz to: iż z tobą miecz się Mój policzy
Tak, że z was każdy ledz od niego musi!
Bo gdym was wołał — wyście byli głusi.
Gdym do was mówił — wyście nie słuchali,
Owszem — do własnych oczu Mych, zuchwali,
Z urągowiskiem stając, w każdej chwili,
Czegom ja nie chciał — wyście to czynili.

Rzekł pan: — Gdy wierni Moi będą syci —
Wam głód wnętrzności całą garścią chwyci!
Gdy dla nich nawet z głazów zdrój wystrzeli —
Z pragnienia język uschnie wam w gardzieli!
I gdy się oni będą weselili —
Wam zawstydzenie karki w dół pochyli!
A gdy serdeczna radość ich rozpieści,
To wy będziecie wonczas od boleści
Wyć w niebogłosy, szerząc strach po świecie!
Próżno się także ich imieniem zwiecie!
Wam wbiję w czoło piętna kainowe,
A ich Imieniem pełnem czci przezowę.
I gdy im błogo będzie żyć na ziemi,
Błogosławieństwy będą też swojemi
Darzyć ich w Górze z głębi Serc Niebianie.
Ja — Bóg Wasz — tak chcę mieć—i tak się stanie!
Bowiem Wszechrzeczy postać tak odmienię
Iż cała przeszłość pójdzie w zapomnienie,
I dla tej ziemi nowej, w Imię Moje,
Stworzę też w Niebie nowych wejść podwoje.
Gdyż to, co przeszło, pójdzie precz na stronę —
Jako rachunki zgoła załatwione
I będzie całkiem odnowione plemię
W mej odnowionej trwać Jeruzalemie,
Która — Cześć Moja gdy się w niej rozgości —
Stolicą będzie uciech i radości,
O czem, gdy świat się jak szeroki dowie,
Nie będą więcej słyszeć narodowie
Jęków, któremi dziś się ona żali,
Ni łzy jej gorzkie będą oglądali.
Tam, już od przyjścia na świat, każdy zdziała
Powinną cnotę, której można Chwała
Byt mu przedłuży w pełne łask stulecie.
Tam też schroniska nowe zbudujecie,
I będzie wszystkim obszar wydzielony
Pól, z których żyzne pozbieracie plony
Ku swojej, nie zaś cudzej gdzieś korzyści,
Gdyż się zapłata wam jedynie ziści.
I nie będziecie płodzić więcej w trwodze,
Bo Ja was nawet w późnych wynagrodzę
Wnukach — i będzie tak, że w każdej chwili,
Wybrańcy Moi jeszcze nie skończyli
Prosić—a oto już są wysłuchani!
I wilk z jagnięciem zbrata się i łani
Z lwem wspólnie będą paść się tam na łące,
Zaś przeklętego węża precz odtrącę,
Bo już nie będzie szkód, ni nienawiści,
Gdzie Tchnienie z Świętej Góry świat oczyści,
By z niego zmaza poszła precz grzechowa...
Takie są właśne Pańskie grzmiące słowa. —

FELICJAN FALEŃSKI

KOGUT ASKLEPIOSA

(Dokończenie)

7

RUMIANY braciszek w grubym habicie kapucyna i o mocno zaznaczonej pokorze w gestach, wprowadził Smochowskiego do rozmównicy, poczem zniknął w nizkich, bezszumnie zamykających się drzwiach.

W kamiennej izbie chłód był, półmrok i cisza. Ciemne duże płótna w wązkich listwach lśniły tłustym połyskiem werniksu. Ukryty w kącie szafkowy zegar głośno i jakby z zastanowieniem odmierzał szczególnie tu dłużące się sekundy. Za okratowanem oknem w pełnem słońcu płonął jaskrawo dziedzińczyk klasztorny, dalej zaś, za żółtym murem, za porosłymi sadem stokami i za rzeką w dole, sinym ściegiem znaczył się daleki nieboskłon.

Gdzieś zaskrzypiała podłoga i do rozmównicy wszedł ksiądz w swieckiej sukni. Mrużąc oczy pod światło, zbliżał się ku oknu, pod którem stał Smochowski.

Tamten pierwszy wystąpił z uściskiem dłoni. Uśmiechnęli się do siebie w milczeniu. Potem zasiedli, wciąż milcząc, obaj widocznie zakłopotani.

— Wyzdrowieliście zupełnie?—spytał wreszcie kapłan, życzliwie przyglądając się wymizerowanej twarzy gościa.

— Zupełnie. Ale to nie był tyfus, tylko zapalenie opon mózgowych. Nie poznali się na chorobie.

Spuścił oczy, zabolał go bowiem zły wygląd przyjaciela. Ksiądz blady był tą szarawą bladością, jaką wytwarza życie zdala od słońca i trucizna zgryzot; na policzkach potworzyły mu się fałdy głębokie, oczy zapadły, zaniedbana suknia workowato wisiała na wychudłem i niesprężystem ciele. Nawet lśniąca dawniej, szpakowata czupryna straciła połysk, nierówno stargana i dziś jeszcze nie siwa, ale już doszczętnie pozbawiona barwy, nijaka, w najlepszym razie bura.

Zniżając głos, Smochowski z dyskretną troską spytał.

— Co wy tutaj, księże Adamie, robicie? Cóż to za pokuta? Za jakie winy? Z czyjego wyroku? Czemu opuściliście szkołę?

Ksiądz popatrzał na przyjaciela tak przejmująco, że ten aż się otrząsnął.

— Z rozkazu biskupa. Wskutek samooskarżenia na spowiedzi świętej. A za co?

I znów mocne, aż do bólu, spojrzenie.

Za oknem rozległ się wojowniczy zew koguta. Obaj przyjaciele drgnęli nieznacznie. Każdy z nich jednak inaczej. Ksiądz jakby w lęku nagłym, a klasyk ze zdumienia.

Popatrzyli sobie w oczy, poczem Smochowski skoczył ku oknu.

— No, ma się rozumieć! — zawołał ze śmiechem.— Mój Gallus Niger Severus w klasztorze! Czyżby też na pokucie? Skąd on tu?

Wesoło jął stukać palcem w szybę, gdy oto za jego plecami rozległ się zmatowany głos:

— Czy aby jesteście pewni, że to ten sam? Czy aby naprawdę ten sam?

Smochowskiemu przez mgnienie oka zdawało się, że w źle postawionych akcentach pytania jest coś niesamowitego; nim sobie jednak wyraźniej to uświadomił, już padła jego pośpieszna odpowiedź:

— Czy napewno? Na końcu świata poznałbym go po trąbie. Ah, prawda! — zawołał z ożywieniem, nową porwany myślą. — Służąca mówiła mi, żem w malignie kazał jej złapać koguta, i że wyście go potem z sobą zabrali. Pewnie żeby mi...

Brutalna jakaś siła kazała mu przerwać zdanie i obejrzeć się za siebie. Gdy to uczynił ujrzał zastygłą twarz i szeroko rozwarte, pełne przerażenia oczy.

— Jakto, nic nie pamiętacie? — rozległ się syczący szept.

Klasyk odszedł od okna i patrzył w bardzo zmienioną twarz kapłana.

— Księże Adamie, co wam jest?

Suche wargi pokutnika lekko się poruszyły.

— Bo jeżeli to ten sam kogut, to znaczy, że żyje... Ah, jakżeż mogłem się łudzić! Jeżeli wyście tylko bredzili, ja zaś sądziłem, iż wy... A teraz co?

Pokutnik wstał i odszedł w najciemniejszy kąt izby. Może go bolało obecnie światło dnia. Może jakiś wstyd straszliwy kazał mu szukać mroku i samotności?

Prawie bezwiednie podążył za nim Smochowski, tknięty przeczuciem jakiejś klęski, w tej chwili mimowolnie zadanej przyjacielowi. Ale skądżeż on—aż klęskę, i to komu? Temu prostaczkowi, opromienionemu ogniem wiary? Temu staremu dziecku, które ze Słowem Bożem na ustach, radośnie, pewne bezpieczeństwa, wstąpiłoby do jaskini lwów? Takiemu zadać klęskę, krzywdę wyrządzić?

W poczuciu nieznanej jeszcze, ale niewątpliwej winy, Smochowski czepiał się rąk pokutnika, który z przymkniętemi oczyma stał oparty o chłodny mur.

— Głos wewnętrzny mówi mi, żem was, księże, skrzywdził, że przezemnie odbywacie karę. A ja naprawdę nic nie pamiętam!

I drżał w ataku niewysłowionego żalu. Gorzka bezradność przenikała mu do wszystkich zakątków duszy, iż życie i świat, cała filozofja bytu, nabrały smaku żółci z piołunem.

— Wy mi nie powiecie, com wam uczynił. Jakaś duma i wstyd usta wam zamknęły. Módlcie się przeto, abym ja sobie przypomniał. I ja też modlić się z wami będę...

Tarł czoło, rozdrapywał je, jakgdyby chcąc dostać się do mózgu i wyszarpać stamtąd zarośniętą w niepamięci tajemnicę.

8

Stali obok siebie, Smochowski trawiony ogniem żalu i kamiennie nieruchomy pokutnik.

Wreszcie Smochowski uczuł, że dłużej już nie wytrzyma: ani własnej goryczy, ani przebolesnego milczenia, w którem stężał kapłan.

— Księże! — skłamał Paweł z zapałem, a już sam pomysł takiego kłamstwa przyniósł mu pewną ulgę. — Księże Adamie, wszystko już sobie przypomniałem!

Ale i to nie zerwało oków milczenia. Czując, że jeszcze chwila, a tem żywy posąg już do życia może nie powróci, że kamieniem wrośnie w mur klasztorny, by pozostać na wieki znakiem krzywdy, a nocami świecić nibmem nawet w kamień zaklętej i nie wyzwolonej męki, Smochowski, z przemożnego nakazu sumienia — nagle osunął się do kolan przyjaciela. Objąwszy je szalonemi ramionami, zaczął mówić cicho a wnikliwie, ciągle tym głosem sumienia, które z uporczywością furjata domagało się najwyższego zadośćuczynienia wyrządzonej, choć nieznanej krzywdzie. W miarę tego, jak mówił, stężenie żywej statuy mijało, a on, Smochowski, sam uczuł, jak i jemu własne słowa gaszą mękę i przywracają spokój:

— Pzybywam z duszą swoją, byście ją uczynili, księże, godną obietnic Zbawiciela według nauki waszego Kościoła. Dajcie mi słowa wyznania wiary prawdziwej, bym mógł je za wami powtarzać...

WACŁAW FILOCHOWSKI

LIBERUM VETO

Radosna wiadomość.—Inteligenci przechodzą do arystokracji proletarjackiej.—Nowe drogi karjery.—Precz z wyższem ukształceniem.—Marzenie młodzieży.—Łódź z czerwonym żaglem.—Odszczepieńcy od socjalistycznego prawosławia.—Dwa prądy..—Sporty zawodowe.

JAK zwykle w marcu pogoda przeplata się z szarugą, tak samo dzieje się w naszem życiu społecznem. Mamy kolejno objawy radosne i smutne. Pierwszych jest daleko więcej. Wymienię tylko najważniejsze. Pozwolono przywieźć 750 wagonów pomarańcz. Wprawdzie ta ilość nie wystarczy w Polsce do pokrycia wszystkich ulic miejskich wózkami i wszystkich okien sklepów spożywczych stosami tego rozkosznego owocu, ale przecie 10 napełnionych nim pociągów naszą gorzką biedę trochę osłodzi. Drugim pomyślnym wypadkiem jest nakaz przysłany z Paryża, ażeby nasze damy od najniższych do najwyższych warstw ubierały się głównie w jedwabie, a panowie w lakierki. Bez takiego stroju nawet córka i syn pięciomorgowego gospodarza lub bezrolnego wyrobnika nie będą śmieli pokazać się kościele. Nie wiadomo jeszcze, co zrobią praczki, dziś uposażone wyżej, niż profesorowie uniwersytetów: skoro bowiem dziewczyny wiejskie kopały kartofle w rękawiczkach, to przecie te arystokratki nie mogą się okazać od nich gorsze. Ale jak prać w rękawiczkach? Miejmy jednak nadzieję, że moda wynajdzie jakiś sposób usunięcia tej trudności. Dalej radosną nowiną jest doniesienie, że konduktorzy i maszyniści kolejowi, którzy Niemczech i Czechach pobierają 30% a we Francji 25% dodatkowo do pensji, a u nas dotąd 80%, po długim oporze, dla niebudzenia zazdrości w proletarjacie z uniwersyteckiem wykształceniem, zgodzili się na 50%, co im zapewnia pensje starostów. Mniej wspaniałomyślni są księgarze, którym zaproponowano opłatę na cel publiczny 2% od przedruków dzieł, które już straciły prawo do honorarjów autorskich i przeszły na własność ogółu. Zasłaniaja się oni pensjami tramwajarzów, którzy są nietylko wysoko płatni, ale wolno im kilka razy na rok urządzać strajki dla uzyskania podwyżek. Każdy przemysłowiec lub kupiec, który nie może walczyć tą bronią, jest kopciuchem społecznym, zmuszonym poprzestawać na tem, co dla niego spadnie ze stołu „nowych bogaczów“, nazywających się niegdyś proletarjuszami.

Wiadomo, że wszelka arystokracja opiera się pomnażaniu jej liczby nowemi nobilitacjami. Wdeptani w błoto inteligenci — jak donoszą gazety — postanowili wydobyć się z niego przez wstąpienie do uprzywilejowanych szeregów byłego proletarjatu, stanowiącego obecnie patrycjat, a przedewszystkiem zapisać się do bezrobotnych w nadziei otrzymania albo zasiłku, albo pracy. Niektórzy już podobno dostali zajęcie przy uprzątaniu śniegu z ulic i innych przeznaczeniach, do których nawet świadectwo ze szkół powszechnych nie jest potrzebne a tem mniej dyplomy wyższych zakładów naukowych. Odbywają się teraz częste zjazdy nauczycieli i profesorów, przedstawiających najrozmaitsze projekty, żądania, pomysły. Śród tego gwaru, wymiany i ścierania się zdań poruszono najrozmaitsze sprawy, a nie dotknięto wcale jednej z najważniejszych, bo ściśle związanej z naszem obecnem położeniem: mianowicie, na jaką drogę kształcenia się ma dziś wstępować młodzież? Dotychczas ona sama i jej rodzice starali się a przynajmniej marzyli, ażeby otrzymała możliwie najwyższe, jeżeli nie akademickie, to przynajmniej gimnazjalne. Teraz okazało się, że takie wykształcenie jest nietylko zbyteczne, ale nawet przeszkodne. Niepodobna od ogółu ludzi wymagać, ażeby byli „męczennikami nauki“, ażeby kilkunastoletnim mozołem w szkołach przygotowywali się do zajęcia stanowisk głodowych. Wyjątki będą zawsze skazywały się na ozdabianie swych głów wawrzynem przeplecionym cierniami, ale większość dbać będzie przedewszystkiem o zapewnieniu sobie bytu. Jeżeli więc obecnie profesor, sędzia, inżynier, literat, artysta mniej otrzymuje, niż woźny, posługacz, konduktor, to czy nie jest wskazane pomnożyć szkoły elementarne a zmniejszyć do kilku uniwersytety, politechniki i wogóle wyższe zakłady naukowe? Jeżeli dyplomowana matematyczka lub lekarka mniej zarabia, niż służąca, to czy rodzice, chcący zapewnić przyszłość swojej córce, nie powinni jej zwracać ku tej lepszej karjerze? Dawniej młodzieniec marzył: skończę gimnazjum, potem politechnikę, pojadę zagranicę, zostanę budowniczym; dziś może już marzy: skończę szkołę powszechną, albo nie skończę i zostanę furmanem w gazowni albo w magistracie, z oszczędności kupię sobie dom w Grodzisku albo folwarczek pod Warszawą...

Marzenie to jednak urzeczywistni się o tyle tylko, o ile kandydat do świetnej karjery zapisze się do uczestników „zdobyczy społecznych“ i na łodzi swego losu zatknie żagiel czerwony, bo jedynie taki wydyma się dziś silnym wiatrem i płynie szybko. Wiedzą o tem najlepiej członkowie stowarzyszenia Praca Polska, których biały żagiel wisi nieporuszony na maszcie. Ci odszczepieńcy od prawosławia socjalistycznego, którzy zawierają układy z przemysłowcami, chcą jaknajwięcej pracować i zarabiać, żyją pod groźbą zemsty i kary z inkwizycji prawowiernej, która w imię wolności pragnęłaby im urządzić noc św. Bartłomieja, a tymczasem urządza im napaści. Z organem tych heretyków („Głos pracy“) powinni się zaznajomić wszyscy obserwatorowie naszego życia społecznego. Wykłada on z objaśnieniami i przykładami cały stosowany katechizm nowych zbawców świata, wszystkie ich ewangelje, przykazania, sakramenty, grzechy—zwykle uważane za cnoty i cnoty—zwykle uważane za grzechy. W krótkiem zsumowaniu ta „radosna nowina“ brzmi tak: nienawidzieć, wydzierać, próżnować i używać. Dokładniej możnaby ten żywioł określić innem porównaniem. W społeczeństwie naszem powstała sicz, rządzona przez „kosz“. Tworzy ona armję z kozaków nielubiących pracować i żyjacych z wypraw w źle bronione dzielnice Polski. Kto nie należy do kozackiego „regestru“, temu zagłada. Prawa tej „siczy“, walczącej w obronie robotników wymagają, ażeby każdy z nich raczej umarł z głodu, niż przyjął ratunek lub dobrodziejstwo z rąk nienależących do „kosza“. Mają oni konać ze słowami na ustach: niech będzie błogosławiona walka klas. Wątpię, czy w dziejach całej ludzkości istniała kiedykolwiek sekta fanatyczniejsza, bardziej tyrańska, bardziej wroga wolności i wyziewająca z siebie więcej nienawiści.

Nie przeklinajmy jednak naszego czasu. Obok tego prądu, rozkuwającego nienawiść, złość, gwałt siły fizycznej, najniższe żądze, płynie przez nasze społeczeństwo równolegle inny, który zaleca miłość, dobroć i braterstwo. Łatwo wywołać szyderczy śmiech porównaniem międzynarodowego mocarstwa socjalistycznego, które rozporządza ogromnym aparatem agitacyjnym, opanowało całkowicie lub częściowo prawie wszystkie rządy europejskie i przygniata swym wpływem najważniejsze sprawy—z równie liczną i równie po całym świecie rozpostartą, ale niewinną, bezbronną rzeszą harcerzów, która posiada tylko swoje chorągwie, drużyny, obozy i wiązankę przykazań, zalecających szerzenie między ludźmi przyjaźni i wzajemnych usług. A jednakże w tym najpiękniejszym kwiecie szlachetnych uczuć tkwią nasiona odrodzenia się obecnych społeczeństw, zatrutych miazmatami życia i osłabionych ranami zaciekłej walki. Nic lepiej nie zatraca dzikich i złych instynktów

w duszy człowieka, niż czysta, pogodna i słoneczna atmosfera harcerstwa. Jeśli nie wszyscy rodzice wprowadzają do niej swoje dzieci, to chyba tylko dlatego, że albo jej nie znają, albo wolą je przygotowywać do walki o byt uzbrojone w kły i pazury, sądząc, że szczęśliwiej powodzi się wilkom, niż jagniętom.

Może dlatego tak namiętnie rozmiłowaliśmy się w rozmaitych sportach. Szczerze wyznaję, że nie mogę pojąć ani przyjemności, ani ważności podbijania piłki nogą lub tłuczenia się pięściami w boksowaniu. Z początku tłumaczyłem sobie, że to jedna z małpich rozrywek, naśladujących obce chociażby najgłupsze pomysły. Ponieważ komuś w Ameryce przyszło do głowy (właściwie nie do głowy) tańcować jak dzicy ludzie, więc Polska podryguje tak samo. Dlaczegóżby nie miała czynić tego ze sportami? Ale przekonałem się, że one istotnie sprawiają uczestnikom wielkie zadowolenie, a niektóre kształcą ich fizycznie. Więc niech się rozwijają. Ale niech mi kto wytłumaczy potrzebę i korzyść poświęcania wielkiej uwagi w prasie podróżom i walkom zawodowców? Co to obchodzi rozumnych ludzi, że jakiś siłacz lub skoczek, swojski lub obcy, albo jakaś drużyna, uprawiając swój sport zawodowo, zwyciężyła przeciwnika w zdobywaniu „bramki“ lub zmaganiu się? Można się cieszyć z tego wielce, że wychowanie fizyczne naszej zwątlałej młodzieży robi postępy, ale czy nasz X lub nasza Ypsylonia, trudniąca się wyłącznie „hockeyem“, pokonała takich samych graczów w Madrycie—to doprawdy równa się wiadomości, że nasz byk pobił hiszpańskiego byka na pastwisku.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

SPRAWA ETYKI ADWOKACKIEJ

IZBA adwokacka w Lublinie uchwaliła opinję, którą zakomunikowała innym izbom w kraju, w sprawie obrony komunistów, podejmowanej przez adwokatów za zapłatą. Izba lubelska jest zdania, że adwokat ze względów etycznych powinien się wyrzec zawierania umów o obronę z komunistą, oskarżonym o działanie przeciwko państwu. Umowy takie mogą być zawierane tylko z wiedzą Izby. Uchwała ta wywołała wzburzenie w łonie izb adwokackich. Oczywiście Żydzi nie chcą nawet dyskutować na ten temat, utrzymując, że uchwała taka, godząca w wolność adwokatury, jest niedopuszczalna.

Strona faktyczna zagadnienia jest prosta. Państwo jest zagrożone tajnem działaniem wywrotowców, dysponujących funduszami, czerpanemi z państwa ościennego. Naród widzi w knowaniach komunistycznych niebezpieczeństwo, grożące cywilizacji polskiej i sprzeciwia się całą duszą wszelkim na rzecz komunizmu działaniom. Komunista, ścigany przez prawo, znajduje w sferach adwokackich przyjaciół, którzy korzystając z prawa obrony stają się w społeczeństwie urzędowymi niejako orędownikami komunizmu. Niema żadnej rękojmi, czy obrońcy, stale w tych sprawach wnoszący obronę, nie są sami komunistami i przez to nie wzmacniają w kraju ich pozycji. Niepokój budzi to tem większy, gdy adwokaci za swoje usługi dla komunistów wynagradzani są bez kontroli z funduszów obcych, niewątpliwie przeznaczonych na agitację antypaństwową w Polsce. A nie może nie wywoływać zgorszenia widok sądu, gdy w tak drażliwych dla państwa sprawach walczy z całą koalicją, nie mając żadnej pewności, czy cokolwiek ogranicza etycznie adwokata w tem, co uradzi z klientem.

W procesach komunistycznych państwo występuje przez prokuratora w obronie od zamachów na swój ustrój, opiera się w tem na prawie. Ale prawo nigdy nie jest pozbawione łączności z etyką. Etyka stoi tak za prawem, jak naród ze swoją cywilizacją stoi za państwem. Cywilizacja narodu ma swoją prokuraturę w rzecznikach etyki. Chodzi w tych procesach o coś więcej, niż o formę ustroju państwowego: chodzi o byt cywilizacji. Naród nie może pozwolić, aby ją likwidowano tak jak w Rosji. Sąd nie może w żadnej funkcji, które się na jego całość składają, wypuszczać ze świadomości tej strony faktycznej: że broniąc państwa, broni zarazem typu duchowego cywilizacji, z której państwo wyrasta.

Dyskusja na ten temat utrudniona jest przez to, że najhałaśliwszy głos w sprawach adwokatury zabierają Żydzi, dla których kwestje etyki są niezrozumiałe i niepożądane. Obok zarzutów prawnych, stawianych uchwale lubelskiej, roztaczają oni teorję społeczną, że każdemu wolno wyznawać, co mu się podoba. Komunizm jest taką samą ideologją, jak monarchizm. Tu dopiero widzimy, jak daleko sięga niebezpieczeństwo. W sprawie obrony komunistów musimy brać pod rozwagę nie rzekomą potrzebę symetrji pojęć, kryterjum formalne, ale treść samą pojęć, stojąc na stanowisku, że chcemy mieć państwo narodowe i cywilizację narodową. Pierwiastek etyczny idzie tu w sukurs prawu. Każdy czynnik w sądzie: i sędzia i prokurator i adwokat muszą być nietylko obrońcami prawa, ale i rzecznikami etyki. Inaczej każde państwo, po żydowsku traktowane po za etyką — legnie w ruinie.

Prawodawczo nie sposób przeprowadzić zastrzeżeń co do praw adwokatury. Ale ona sama może to uczynić regulaminowo. Niema przepisów prawnych na wszystkie czasy i miejsca. Etyczne korektury przy wykonywaniu prawa dają prawu żywotność. Każdy prawnik może stanąć na tym gruncie pojmowania obowiązku obrony w sprawach tyczących bytu państwa i cywilizacji.

Wszystko w danej sprawie zależy od postawy adwokatury. Jeżeli ona uzna uchwałę lubelską za słuszną, to sąd będzie wyznaczał obronę z urzędu. W ten sposób przynajmniej w pewnej mierze zmniejszy się szansa współdziałania sympatyków przewrotu z jego agentami pod pretekstem wykonywania prawa.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Po naradach genewskich. — Nasze straty i zyski. — P. Skrzyński zadowolony. — Imieniny i wybory. — Pożądana redukcja.

STANOWCZE *veto* Brazylji udaremniło przygotowywany w Genewie kompromis, polegający na udzieleniu stałego miejsca w Radzie Ligi Narodów Niemcom, niestałego—Polsce. Czynnik zewnętrzny, niezależny od wysiłków naszej dyplomacji, uniemożliwił w ostatniej chwili powzięcia decyzyj, nie liczących się dostatecznie z interesami Polski i nie zapewniających jej bynajmniej koniecznego bezpieczeństwa. Rozstrzygnięcie sprawy odłożone zostało na kilka miesięcy, do września.

Ale narady genewskie nie pozostały, mimo to, całkiem bez wyników. Aby je ocenić właściwie, trzeba porównać położenie w okresie, bezpośrednio poprzedzającym ostatnie Zgromadzenie Ligi Narodów i położenie obecne. Wówczas, przed Zgromadzeniem, trzy państwa: Polska, Hiszpanja i Brazylja, domagały się uzyskania równocześnie z Niemcami stałych miejsc w Radzie Ligi. W szczególności żądanie Polski popierane było oficjalnie przez szereg państw, między innemi przez Francję i Włochy. Tymczasem kilka dni rokowań genewskich wystar-

czyło, aby Francja ustąpiła z pierwotnego swego stanowiska, proponując porozumienie na podstawie udzielenia Polsce miejsca — niestałego. To też teraz, gdy dnia 10 maja zbierze się komisja, mająca zbadać projekt rozszerzenia Rady Ligi, trudniej będzie bronić żądania stałego miejsca dla Polski, niż gdyby wogóle ustępstw i propozycyj genewskich nie było. I ten rezultat w bilansie ostatniego Zgromadzenia Ligi Narodów policzyć trzeba, jako poważną, niewątpliwą naszą stratą.

A jakie są nasze zyski? Na to zagadnienie rzuca światło depesza urzędowej P. A. T. z Paryża, którą warto przytoczyć dosłownie:

PARYŻ 18 marca (P. A. T.) — „Patit Parisien“ donosi z Genewy, iż gdy min. Stresemann opuszczał mieszkanie premjera Brianda, spotkał się z prezesem rady ministrów Skrzyńskim, któremu gorąco ściskał dłoń. Briand, który widział tę scenę, oświadczył, iż gest ten jest dla niego bardzo pocieszający i stanowi, być może, najpiękniejszy rezultat sesji.

Premjer Skrzyński oświadczył w rozmowie z korespondentem „*Matin'a*“, że „powraca do Warszawy zupełnie zadowolony“.

W naszem wewnętrznem życiu politycznem okazję do demonstrancyj dały, jak zwykle, imieniny b. Naczelnika Państwa, Piłsudskiego. Tym razem zorganizowano je bardzo starannie, urządzając przedstawienia w kilku teatrach (oczywiście miejskich, kierowanych przez b. premjera A. Śliwińskiego), rauty, wiece i t. d. Właściwy cel tych demonstrancyj wyjaśnił w kilka dni później „Robotnik“, donosząc, iż u pos. Kościałkowskiego odbyła się przy współudziale marsz. Piłsudskiego „herbatka polityczna“, na której omawiano sprawę stworzenia bloku wyborczego N. P. R., „Wyzwolenia“, grupy Bryla i grupy Thugutta, przyczem na czele bloku miałby stanąć właśnie marsz. Piłsudski. Lewica, zwłaszcza zaś grupa Bryla, prowadzi ostatnio bardzo ożywioną akcję agitacyjną, to też organizowanie przez sfery lewicowe uroczystości imieninowych jest tej chwili rzeczą naturalną i zrozumiałą. Zgoła niedopuszczalne jest jednak wciąganie pod jakimkolwiek pretekstem armji do tego rodzaju partyjno-przedwyborczych demonstracyj.

Na szczęście są jeszcze w Polsce ludzie, którzy sprawę przyszłych wyborów rozpatrują nie pod kątem partyjno-osobistych kombinacyj, ale z punktu widzenia interesu ogólnego. Związek Ludowo-Narodowy zgłosił dn. 22 b. m. projekt reformy ordynacji wyborczej, czyniąc w ten sposób pierwszy krok na drodze ulepszenia ustroju Rzplitej. Projekt naprawia to, co w ramach przepisów konstytucyjnych o pięcioprzymiotnikowem prawie wyborczem naprawić można, mianowicie zmniejsza liczbę posłów i senatorów o połowę. Zapewni to podniesienie ogólnego poziomu Izb ustawodawczych, jednocześnie zaś, przez podwyższenie dzielnika wyborczego, utrudni tworzenie się drobnych grup, zmniejszając tak niebezpieczne dla naszego życia politycznego rozproszkowanie partyjne. Śmiało też można powiedzieć, iż żadna redukcja nie będzie powitana przez opinję publiczną z równie jednomyślnym i równie zasłużonym entuzjazmem.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

ZESZŁOROCZNY PLON BIBLJOTEKI LAUREATÓW NOBLA

NIEDAWNO cały świat obiegła sensacyjna wieść, że fundacja Nobla, zawikłana w kłopoty finansowe, nie będzie mogła na przyszłość (od ubiegłego roku począwszy) udzielać nagród za wybitne dzieła literackie; tem samem poczet laureatów należy uważać za zamknięty na liczbie 23-ch nazwisk, wśród których — z chlubą możemy to powiedzieć — dwa są polskie. T. zw. historycy literatury zapewne niebawem wymyślą dla ostatniego ćwierćwiecza literatury powszechnej nową szufladkę archiwalną, zwaną „okresem laureatów Nobla“, ale nie będą potrzebowali suszyć sobie głowy, jak niegdyś uczeni aleksandryjscy, nad tem, by układać jakiś „kanon“, rejestr wzorowych pisarzy; biurokratyczna fundacja Nobla, dziś zrujnowana przez biurokrację, ułatwi im to mozolne dzieło.

Uproszczone zadanie ma również przeciętny czytelnik, który często bezradnie błądził wśród ostępów literatury powszechnej i albo frasował się, co ma czytać, albo też brał do ręki pierwszą lepszą napotkaną książkę, nie pytając o jej wartość; z kłopotu lub chaosu wybawia go często dopiero nazwisko autora, renomowane lub zaszczytnie wyróżnione. Tę to potrzebę zrozumiała ruchliwa firma poznańska „Wydawnictwo Polskie“, gdy przed kilkoma laty rozpoczęła wydawać „Bibljotekę Laureatów Nobla“; jeżeli Horacy mówił, że najmilej wytchnąć „*sub lauru*“, to w cieniu laurów Nobla też można raczyć się bezpieczną a zawsze wykwintną biesiadą. Corocznie dziesięć tomów dzieł prawdziwie wartościowych, pięknie wydanych i wzorowo tłumaczonych, — to cenny nabytek dla każdego księgozbioru.

Zeszłoroczny dorobek „Bibljoteki“ otwiera — w dwa miesiące niespełna po otrzymaniu nagrody—Władysław Reymont zbiorkiem nowel p. t. „Pęknięty dzwon“. Są to pełne prawdy obrazki z życia wsi polskiej podczas wojny światowej, zwłaszcza za okupacji niemieckiej. Jak „Z ziemi chełmskiej“ pozostanie na wieki wymownym dokumentem tyranji moskiewskiej, tak nowele „Za frontem“, „Echa“, a zwłaszcza „Skazaniec Nr. 437“ będą wszystkim narodom i pokoleniom opowiadały o brutalności Prusaków; z drugiej zaś strony jest ten zbiorek najwymowniejszym może z całej twórczości Reymonta wyrazem jego uczuć patrjotycznych, jego, mocnej niezachwianej wiary w niepożytą siłę Narodu.

W bolesnym kontraście stoi z tą książką tomik następny: „Głupiec“ Hauptmanna. Rzecz dzieje się na zniemczonym Śląsku, wśród ludzi bądź urobionych na modłę państwa pruskiego, bądź rzuconych w otchłań antagonizmów klasowych; są nimi przeważnie tkacze — ci których niegdyś Hauptmann uczynił tytułowymi bohaterami swego dramatu, a którym jeszcze dawniej Heine kazał „tkać całun pogrzebowy dla Germanji“ („*Zeitgedichte*“). Wśród takiego środowiska działa i ginie „*Narr in Christo*“ Emanuel Quint, głoszący nową ewangelję ubóstwa, męczeństwa i prostoty.

Nie tak tragicznie, jak w „Głupcu“, kończy się konflikt nauczyciela - fantasty z trzeźwem otoczeniem w nowelce Spittelera „Gustaw“. Autor nazwał swój utwór sielanką, bo akcja rozgrywa się na tle uroczej przyrody szwajcarskiej, która jest największem umiłowaniem i natchnieniem zdolnego muzyka, ale śmiesznego w życiu codziennem Gustawa. Osobliwy jest styl opowieści, urywany, niby szorstki, ale pełny niespodzianych czarów, a nadewszystko wielce obrazowy; zwłaszcza charakterystyki osób są bardzo wyraziste. Tyczy się to i drugiej opowieści „Konrad porucznik“, która w sposób zwarty, czasem dosadny, kreśli sceny z życia małomiejskiego. W przedmowie autor zaznacza, że opowieść swą uważa za rodzaj dramatu, w którym „celem jest możliwie najwewnętrzniejsze przeżywanie akcji, środkami zaś: jedność osoby, jedność perspektywy i ciągłość akcji w czasie“.

W życie miasteczka prowadzi nas i powieść Hamsuna „Kobiety u studni“; treścią jej jest częsty u Skandynawów problem pożycia rodzinnego, tutaj kaleki Oliviera Andersena i żony jego Petry, żądnej jeszcze świata i stanowiska; akompanjamentem akcji, mającej sporo zawikłań, są plotki kumoszek „przy studni“.

Od tej powieści, mającej w sobie sporo brutalnego realizmu, odbija romantycznym nastrojem powieść Selmy

Lagerlöff „Moja Liza“, znana zazwyczaj pod tytułem „Ojczyzna Liljecrony“. Jest to jakgdyby czarodziejska baśń o złej macosze i dobrej pasierbicy, a z fabułą doskonale kojarzy się tło: urocze okolice Wermlandji, tylekroć tak pięknie opisywane przez autorkę. Treścią i tłem wiąże się ta powieść w niejednym szczególe z największem arcydziełem Selmy Lagerlöff, „Göstą Berling“, które nieco dawniej ukazało się w „Bibljotece“; łączy je zwłaszcza postać skrzypka Liljecrony, późniejszego rezydenta w Ekeby.

Do wydanych poprzednio przekładów z Maeterlincka w tym roku przybyły dwa nowe tomiki. Jeden z nich zatytułowany „Mądrość i przeznaczenie“, jest jakby zbiorem aforyzmów, dotyczących obu pojęć zaznaczonych w tytule, a jednocześnie stwierdzają ych ścisłą ich łączność: „z chwilą, kiedy w jakiejś istocie powstaje ze snu świadomość, zaczyna się również jej przeznaczenie“. Refleksje gdzieniegdzie przypominają Pascala, do czego przyznaje się zresztą sam autor; jednakowoż na równi z Pascalem i obok niego wymieniony jest i — Hello. Nic też dziwnego, że drugi tomik Maeterlincka, „Gość nieznany“ poświęcony jest w zupełności okultyzmowi, ale nie jego stronie „legendarnej“ (astr logja, talizmany, gusła), tylko prawdziwej — zdaniem autora — „wiedzy psychicznej“, do której materjałów dostarczyła przedewszystkiem wojna; najciekawsze są rozdziały o psychometrji oraz o „koniach elberfeldzkich“. Winienem wytknąć „Bibljotece L. N.“ pewną jednostronność, że wydaje dotąd tylko dzieła przyrodnicze lub mistyczno-filozoficzne Maeterlincka, zapominając zupełnie o innych działach jego twórczości, zwłaszcza o dramatach.

Ale wydawanie dramatów, wobec powszechnego u czytelników pędu do powieści, istotnie bywa dziś rzeczą mniej popłatną. To też pierwszy raz „Bibljoteka L. N.“ zaryzykowała ten krok dopiero wtedy, gdy szło o takiego *par excellence* dramaturga, jakim jest Hiacinto Benavente, mało jeszcze u nas znany pisarz hiszpański, dotychczas bowiem jeden tylko z teatrów warszawskich wystawił jego „Krąg interesów“. Obecnie w teatrze poznańskim święci triumfy najsłynniejszy dramat Benaventa „Źle kochana“ („*La malquerida*“), który w przekładzie Izabeli Lutosławskiej ukazał się właśnie w „Bibljotece Laureatów“. Dramat ten, przyjęty z entuzjazmem przez pół Europy i obie Ameryki, stanowi epokę w poezji hiszpańskiej, gdyż zrywając z dawną tradycją kalderońskiego wiersza i romantyzmu (jakim hołdują jeszcze Zorilla i Echegaray) bierze treść z realnego życia ludności kastylijskiej. Przekład poprzedziła pięknym i ciekawym wstępem p. Zofja Casanova-Lutosławska, krzewicielka wiedzy o naszej literaturze w swej ojczyźnie.

Przedmowa taka była ze wszech miar pożądana, gdyż bądź wskutek umysłowej opieszałości naszego społeczeństwa, bądź wskutek trudności nawiązania stosunków z zagranicą, wiele nazwisk, sławnych w świecie, jest dla większości czytelników polskich jeno pustym dźwiękiem; co do niektórych autorów czytelnicy mieli nawet wątpliwość, do jakiej zaliczyć ich narodowości!.. To też zdarzały się skargi, że „Bibljoteka Laureatów“, poza kilkoma wyjątkami (przekłady Rabindranatha, pióra Jerzego Bandrowskiego) zaniedbuje ten obowiązek, jakim bywają przedmowy informujące o życiu i dziełach autora. Brak ten ma „Biblioteka“ niebawem okupić, wydając zbiorową pracę monograficzną, zawierającą dzieje fundacji Nobla, ocenę jej znaczenia, oraz biografje, wizerunki i charakterystyki literackie laureatów. Tak np. o Mistralu pisać będzie E. Porębowicz, o Echegarayu i Benaventem Z. Casanova-Lutosławska, o Carduccim Jabłonowski, o Romain Rollandzie L. Staff, o Euckenie A. Zieleńczyk, o Hamsunie Cz. Kędzierski, o Wiliamie B. Yeatsie — niżej podpisany i t. d.

Wspomniałem przed chwilą Staffa, ale omal go nie opuściłem jako tłumacza. Usprawiedliwia mnie to, że dopiero wyszła część pierwsza Rolland'owskiego „Jana Krzysztofa“, więc obszerniej można o tej powieści napisać dopiero wtedy, gdy wyjdzie całość; wspomnę nawiasem, że w obecnem wydaniu przyjęty jest inny podział, niż w dawniejszych: zgodnie z przedmową autora (z r. 1921) dzieli się powieść cała na cztery części, nie na trzy. Odświeżenie tego dzieła w pamięci czytelników jest prawdziwem odświeżeniem i w znaczeniu artystycznem, bo przekład Staffa wartością swą usuwa w kąt wszystkich dawnych tłumaczy.

JÓZEF BIRKEMMAJER

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Prof. Maurycy Mann wydał studjum p. t. „Echa włoskie w poezji Adama Asnyka“ (Warszawa, 1926 r. str. 80), z którego się okazuje, że Asnyk znał bezpośrednio dzieła wielkich poetów włoskich, a choć jednego tylko Dantego świadomie naśladował, jednakże echa lektury włoskiej jak i ślady podróży do Włoch rozpoznać można w jego twórczości oryginalnej.

Z autobiografji Asnyka wiemy, że pierwszy jego pobyt we Włoszech (po powstaniu 63 r.) pobudził go do twórczości poetyckiej, uczynił zeń poetę. Pierwszym dominującym akrodem jego pieśni była—Italia.

Prof. Mann przegląda utwory Asnyka w porządku chronologicznym, począwszy od najwcześniejszych, wykazując na wielu z nich wyraźne wpływy włoskie — otoczenia włoskiego i poezji włoskiej. Pomijając tło włoskie z pomniejszych utworów („Podróżni“, „W zatoce Baja“, „Teatr w Tusculum“, „Fresk pompejański“, „Taormina“ i t. p.), dość zatrzymać się na „Śnie Grobów“, żeby się przekonać, jak często tu odzywają się echa dantejskie. Na innych poezjach Asnyka stwierdza prof. Mann wpływy takich poetów włoskich, jak: Angelo Poliziano (poemat Asnyka „Orfeusz i Bachantki“), Leopardi („Odłamowi Psychy“, „Dzieje Piosenki“ i t. p.) Carducci („Różowa chwilka“, „Zmierzch melodji“ i t. p.)

W pracy swojej zebrał autor sporo ciekawych uwag i spostrzeżeń o twórczości Asnyka, świadczących o tem, że z każdego pobytu Asnyka we Włoszech zostawał w poezji jego jakiś ślad, że podróże po półwyspie nasyciły wzrok jego krajobrazem włoskim, spotęgowały w nim zamiłowanie do starożytności klasycznej, umysłowi jego nasunęły szereg tematów i refleksyj.

*

Z teki pośmiertnej niezapomnianego artysty słowa Felicjana Faleńskiego uzyskaliśmy fragment jego „Przekładów z pism Starego Zakonu“. Pod tym tytułem wyszła w Krakowie, 1902 r. część tych motywów biblijnych. Zbiór ten zawierał hymn na cześć Prostoty (zamiast wstępu), a potem: Dziewosłąb Rebeki, Dzieje Józefowe, Księgi Rut, Księgi Tobiaszowe, Proroctwo Izajaszowe, Treny Jeremjaszowe, Dzieje Zuzanny i Daniel. Podany przez nas fragment nie był dotąd znany.

*

Adam Grzymała Siedlecki wystawia w Wilnie nowy utwór sceniczny, dramat „Siostry“. Z tego powodu wyjechał do Wilna, gdzie przy sposobności wygłosił odczyt o twórczości Fredry. Jak wiadomo Siedlecki pracuje nad monografją o Fredrze. Wyjdzie ona nakładem Gebethnera i Wolffa. „Tygodnik Ilustr.“ ogłasza obecnie bardzo piękny fragment tej pracy, zatytułowany „Fredro w swojej ziemi i w swoich czasach“. Jeden rozdział tego świetnego studjum drukowaliśmy w pierwszych numerach z r. b. „Myśli Narodowej“. Mamy przyrzeczony drugi fragment.

*

Znakomity pisarz, Karol Hubert Roztworowski wygłosił dn. 20-go b. m w Warszawie odczyt na temat ślubów cywilnych i kościelnych. Warszawa miała sposobność przekonać się, że autor „Judasza“ i „Antychrysta“ jest równocześnie jednym z najświetniejszych, najbardziej porywających mówców, jakich dzisiejsza Polska posiada. Niektóre idee swego pięknego referatu zamierza Roztworowski opracować w artykule, który obiecał zamieścić w „Myśli Narodowej“.

*

W Sali Pompejańskiej Hotelu Europejskiego w Warszawie odbył się dn. 21-go b. m. wieczór recytacyjny grupy poetów „Skamandra“. Z wygłoszonych wierszy najlepsze okazały się utwory pp.: Tuwima (szczery, pełen uczucia wiersz o „obłąkanym Żydku“), Słonimskiego („Stanley“) i Pawlikowskiej (świetna opowieść o „ciotce, co się otruła“). Z prawdziwem uznaniem podnieść należy całkowite pominięcie w programie kompromitujących brakiem talentu i niezdarną polszczyzną utworów p. Wittlina. Ten sam rygor jednak zastosować należało również wobec głęboko niemoralnych, a literacko bardzo słabych wierszy p. Broniewskiego oraz niezręcznych, pozbawionych walorów poetyckich, prób p. Lieberta.

Publiczność, składająca się niemal wyłącznie z bogatej burżuazji żydowskiej, demonstracyjnie oklaskiwała wiersze, jaskrawo

malujące nędzę proletarjatu, głoszące hasła walki społecznej i przewrotu.

*

Ostatni (4-ty) numer krakowskiej „Gazety Literackiej“ poświęcono uczczeniu pamięci Stanisława Wyspiańskiego. Nie odstępując od starego szablonu dziennikarskiego za najwłaściwszy hołd pamięci genjalnego poety uznano zamieszczenie wierszyka okolicznościowego i kilku t. zw. „impresyj“. Główną ozdobą numeru są dwa obszerne przedruki z pięknej przedmowy p. Tadeusza Żuk-Skarszewskiego do wydanego przed kilku miesiącami nakładem „Bibljoteki Polskiej“ wspaniałego albumu dzieł malarskich Wyspiańskiego.

*

Ostatni numer (marcowy) „Muzyki“ poświęcony jest pamieci Mieczysława Karłowicza wobec przypadającej w r. b. 50-tej rocznicy jego urodzin. Na całość tej zbiorowej pracy o Karłowiczu składają się przyczynki biograficzne i analityczne: Wł. Zahorskiego, A. Chylińskiego, St. Barcewicza, Grz. Fitelberga i inn. Uzupełniają je fragmenty poetyckie i nieznane listy M. Karłowicza oraz bogaty dział ilustracyjny (portrety i facsimile).

U SŁOWIAN

W d. 21-go marca r. b. staraniem Stow. „Młodych Słowian“ odbyła się w Warszawie akademja ku czci poetów czeskich Jul. Zeyera i Św. Czecha.

W Pilźnie (w Czechach) staraniem Koła Polskiego i czeskiego związku oświatowego urządzono 22-go b. m. akademję ku czci Reymonta i Żeromskiego. Wykład wygłosił Ignacy Hanus, lektor języka czeskiego w Poznaniu.

*

W lutym objeżdżał całą Polskę z odczytami na temat „Unji kulturalnej czesko-polskiej“ profesor Uniwersytetu Karola w Pradze Dr. Marjan Szyjkowski. Prelegent, który wykładając w stolicy Czechosłowacji język i literaturę polską, jest tam znakomitym propagatorem naszej kultury duchowej, w Polsce natomiast zaznajamiał szerokie koła publiczności z istotnym stanem kulturalnych związków obu bratnich narodów. Wykazywał, że w dwu epokach dziejów czeskich związki te były bardzo żywe. W pierwszej epoce czerpali Polacy od Czechów, zacząwszy od misji Dubrawki, skończywszy na rozkwicie uniwersytetu praskiego w XIV w., gdzie studjowali Polacy nader licznie. W epoce drugiej, czasach czeskiego odrodzenia z początku XIX w., bujny rozwój polskiej kultury duchowej stał się źródłem wiary w nieśmiertelność własnego narodu dla Czechów. Wielka twórczość literacka Polski zdobyła sobie w Czechach niezmierną popularność, dość wspomnieć tu sławę Mickiewicza, Sienkiewicza i poetów czeskich: Kvapila, zwanego „epigonem polskiego romantyzmu“, Sovę, Dyka, Karaska, zwanych „Przybyszewczykami“... Z drugiej strony należy się i czeskiej kulturze większe zainteresowanie ze strony polskiej opinji, gdyż tylko po wzajemnem, dobrem poznaniu się dojść można do szczerej współpracy, tylko po unji kulturalnej nastąpić mogłaby polityczna.

*

W wyniku kilkuletnich już prac przygotowawczych ze strony lwowskich słowianofilów i wybitniejszych przedstawicieli osiadłych we Lwowie Czechosłowaków, przy czynnej współpracy konsula czesko-słowackiego we Lwowie p. Sztilipa, powstał ostatnio we Lwowie „Klub polsko-czechosłowacki“. Na uroczystem zebraniu konstytuującem przy współudziale elity lwowskiego społeczeństwa, dokonano wyboru zarządu, do którego weszli: zasłużony wielce dla założenia Klubu, prof. Uniw. Jana Kazimierza Dr. Tadeusz Lehr-Spławiński (prezes), Dyr. Jarosław Distl (wiceprezes i skarbnik), Henryk Batowski i Ferd. Koksztein (sekretarze), rektor Akad. Weter. Dr. W. Moraczewski, docent U. J. K. Dr. St. Wierczyński, dyr. opery Milan Zuna (członkowie zarządu), Miroslav Batek i Dr. Wł. Wisłocki, kustorz Bibj. Ossolineum (zastępcy). Programem pracy nowego towarzystwa jest przedewszystkiem urządzanie odczytów naukowych, liter.-art. i krajoznawczych, kursy językowe, zebrania towarzyskie dla członków i wycieczki.

*

Dnia 7-go marca b. r. obchodził 76-tą rocznicę urodzin prezydent Czechosłowacji Tomasz Garrigue Masaryk, znakomity polityk i uczony, najwybitniejszy socjolog i filozof czeski, b. profesor Uniw. praskiego. Warto przy tej okazji przypomnieć, że prof. Masaryk, który w czasie wojny światowej stał na czele czeskiej polityki zagranicą, w pamiętnikach swych, wydanych w roku zeszłym w Pradze p. t. „Rewolucja światowa w czasie wojny 1914—1918“, z najwyższem uznaniem wyraża się o naszej polityce narodowej, stwierdzając, jak dalece owocnie współpracował wówczas z Dmowskim i Paderewskim dla sprawy niepodległości obu narodów.

*

Poznańskie „Towarzystwo polsko-czeskosłowackie“ wydało jako pierwszy tom swej „Bibljoteki polsko-czeskosłowackiej“ odczyt swojego prezesa, prof. W. M. Kozłowskiego p. t. „Masaryk a mesjanizm polski“. Praca b. ciekawa i zasługująca na najszersze rozpowszechnienie; sprawozdawca *„Prager Presse“* pisze o niej: „studjum myślowej pracy Masaryka, jego pism i działalności jest najlepszem wprowadzeniem do dziejów myśli czeskiej ostatnich czasów“.

*

Ukazał się 2-gi (lutowy) numer *Sokołskich Listów*, organu sokolstwa Serbów łużyckich. Pierwszy artykuł Dra H. Szlecy „Sokół serbski 1920—25“ nacechowany jest głębokiem uczuciem patrjotycznem, które ożywia ten drobny, usilnie broniący się przed zagładą naród słowiański. Po szeregu fachowych artykułów jest i wiadomość o polskim ruchu sokolim. — *Sokolskie Listy* wychodzą w Budziszynie (Bautzen i Sa.), adres red. i adm. jest Lauergraben 2—4, redaktorem jest jeden z najwybitniejszych działaczy łużyckich, Herman Szleca.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Jean Brunhes, znakomity uczony, jest—jak wiadomo—nowatorem w dziedzinie geografji, która — według niego — jest ogólną nauką *„de la surface humanisée de la planète“*. Założeniem nauki Brunhes'a jest twierdzenie, że człowiek na „losach natury wywiera olbrzymi wpływ przez swą pracę, wpływ twórczy albo destrukcyjny“, a wobec tego nauka geografji więcej, niż dotychczas, uwzględnić musi rolę elementu ludzkiego. Na nowe wydanie *„Geographie humaine de la France“* składają się dwa obszerne tomy, z których ostatni wyszedł w zbiorze *„Histoire de la Nation Française de G. Hanotaux“*.

*

Znani i bardzo utalentowani pisarze Jean et Jérôme Tharaud wydali ostatnio niewielkich rozmiarów książkę p. t. *„Rendez-vous espagnols“* (Plon). Jest to zbiór wrażeń, odniesionych z rozmów, jakie mieli z wybitnemi osobistościami świata hiszpańskiego na temat wojny w Maroku. Charakterystyczna jest zanotowana przez braci Tharaud opinja króla Alfonsa XIII: „Głównym brakiem Hiszpanji jest to, że nie posiada swego Lyautey'a.“ Bracia Tharaud wydają obecnie również bardzo ciekawą książkę p. t. *„Notre cher Péguy“*. Jest to nietylko historja życia i zmagań się wewnętrznych znakomitego pisarza, ale również obraz francuskiej literatury przedwojennej, odmalowany w sposób niezmiernie barwny i żywy.

*

François Mauriac, wybitny pisarz, którego całe dzieło scharakteryzować można zdaniem, będącem zresztą tytułem jednej z jego ostatnich książek: *„Le désert de l'amour“*, wydaje u Hachette'a nową książkę p. t. *„Le jeune Homme“*. W tym krótkim utworze, będącym rodzajem traktatu o młodości, autor kreśli z dużą znajomością psychologji obraz współczesnej młodzieży.

*

„Promeneur Sympathique“ (Plon) pióra Maurice Courtois-Suffit jest również utworem, poświęconym młodości. Dwudziestoletni, rzeczywiście „sympatyczny“, bohater powieści, szuka szczęścia w przygodach miłosnych, nie dają mu one jednak pełnego zadowolenia. Książka, pisana ciekawie, świadczy o prawdziwym talencie obserwacyjnym autora.

*

Pierre Benoit, który, jak wiadomo, potrzebuje coraz to nowych tematów, już nietylko europejskich, ale pochodzących ze wszystkich części świata, pojechał do Japonji, skąd zapewne powróci z nową książką o pięknych Nipponkach.

*

J. Kessel, który wspólnie z p. Heleną Izwolską wydał ostatnio *„Rois Aveugles“*, napisał powieść p. t. *„Makhno et sa juive“*, której publikację rozpoczyna *„Revue Hebdomadaire“*.

*

W Padwie wyszła świeżo praca p. Nelly Nucci p. t. *„Arte d' Italia a Cracovia e a Varsovia“*, w której autorka mówi o zabytkach sztuki włoskiej w dwóch głównych miastach Polski. Rzecz ta, pozbawiona balastu łatwej erudycji, jest wiązanką serdecznych wspomnień, poświęconych „skromnym i nieznanym“—jak powiada autorka— pionierom kultury włoskiej na ziemi polskiej. Dodać trzeba, że o ziemi tej mówi autorka z równem ciepłem i serdecznością.

*

W paru ostatnich zeszytach *„L'Europa Orientale“* znajdujemy niezmiernie ciekawą pracę prof. A. Palmieri'ego p. t. *„La Geografia Politica nella Russia sovietista“*, w której autor przedstawia obecną strukturę polityczną Rosji bolszewickiej. W styczniowym zeszycie tegoż pisma zamieszcza rozprawę prof. E. Lo Gatto p. t. *„Storja di un'amicizia letteraria“* (Mickiewicz i Puszkin). W *„Mezzogiorno“* neapolitańskim (3 b. m.) prof. Palmieri umieścił ocenę książki Wł. Jabłonowskiego *„Amica Italia“*, o której wyraża się z wielkiem uznaniem i mówi, że wypełnia ona lukę w piśmiennictwie naszem.

TEATR

NAJNOWSZA SALOME

TEATR Narodowy wystawił „Księżniczkę żydowską“ Wacława Grubińskiego.

Historyczne, przekazane testamentem, zdarzenie ma osnowę następującą:

„A piętnastego roku panowania Tyberjusza cesarza, gdy Pontius Piłat rządził żydowską ziemią, a Herod (był) tetrarchą Galilejskim, za najwyższych kapłanów: Annasza i Kaifasza, stało się słowo Pańskie do Jana, Zacharjaszowego syna na puszczy. I przyszedł do wszystkiej krainy Jordanu, opowiadając chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów. A Herod tetrarcha, będąc strofowany od niego o Herodjadę, żonę brata swego — zamknął Jana w ciemnicy“. (Według Łukasza).

„Bo Jan mówił Herodowi: Nie godzi się tobie mieć żony brata twego. A Herodias czyhała nań i chciała go zabić; a nie mogła, albowiem Heród bał się Jana... A gdy był dzień po temu, Herod dnia narodzenia swego sprawił wieczerzę panom i tysiącznikom i przedniejszym Galilei. A gdy weszła córka onej Herodjady i tańcowała i podobała się Herodowi i społu siedzącym, rzekł król dziewce: Proś mię, o co chcesz, a dam tobie. Która wyszedłszy, rzekła matce swojej: Czego mam prosić? A ona rzekła: Głowy Jana Chrzciciela. I gdy weszła, zaraz ze skwapliwością do króla prosiła, mówiąc: Chcę, abyś mi zaraz dał na misce głowę Jana Chrzciciela. I zasmucił się król. Dla przysięgi i społu siedzących nie chciał jej zasmucić. Ale posławszy kata rozkazał przynieść głowę jego na misie i oddał ją dziewce, a dziewka oddała ją matce swej“. (Według Marka).

Do tego źródła przychodziło już wielu pisarzy i artystów plastyków, aby zaczerpnąć symbolu dla pewnej myśli artystycznej. Przyszedł też Wacław Grubiński, dramaturg i fejletonista, ulubieniec śródmieścia warszawskiego, łaknącego sztuki zrozumiałej, pozbawionej metafizycznych zamyśleń. Przed nim z polskich poetów był tutaj Jan Kasprowicz („Uczta Herodjady“). Oczywiście każdego z artystów inaczej uderza słowo powyższego testamentu. Indywidualność twórcza ma swoistą wyobraźnię. Kasprowicz widział w czynie Salome (i Herodjady) klątwę grzechu kazirodczego w duchu antycznym poezji greckiej. Z domu Heroda, w którym zamarł głos Duszy wygnanej z Raju, Kasprowicz ukazuje nam Golgotę. A co chciał pokazać Grubiński?

Zdawało się chwilami, że chce roztoczyć obraz obyczajowy dworu Herodowego. Traktuje wypadki realistycznie, bez metafizycznych aluzyj. Jego Salome żąda głowy Chrzciciela, nie motywując żądania. Zachciało się jej tej krwi, a nie innej. Stawia tak rzecz, jak rozkapryszona kobieta, która napiłaby się teraz czegoś kwaśnego. Herod przerażony jest jej żądaniem, ale także nie wiadomo dlaczego. Nie wiemy, dlaczego miało to żądanie być próbą Heroda. Nie zaznaczył ani słowem, że Herod, dajmy na to, rad był zatuszować sprawę popularnego Jana, aby nie wywołać rozruchów, bał się bowiem o swe stanowisko. Piłat tylko czekał na sposobność skasowania urzędu tetrarchy. Czy może Chrzciciel więził jego duszę? I to nie, Herod bowiem z najwyższą pogardą mówi o jego głupocie. Twórca „Księżniczki żydowskiej“ usunął ze sceny wszystko, coby przeszkadzało widzieć Salome w nagiej postaci sadystki. Usunął więc pierwiastek historyczny, polityczny, religijny, uniezależnił nawet córkę od wpływu matki Herodjady: to, czego żąda, jest jej własną wolą, jej chucią.

Autor miał świadomość, że ten stan erotyczny jest rzadkością, że nawet Herod w tych warunkach wyrzeknie się ciała Salome, która bynajmniej nie odmawia ojczymowi dostępu. Żądanie głowy obudziło grozę wśród całego towarzystwa, gdzie byli przecież rozmaici koneserzy rozpusty: egipcjanie, numidowie, rzymianie, izraelici. To też autor zrobił tu miejsce na poetę. Damastes, poeta grecki, poznał się na tej kobiecie. Według koncepcji Grubińskiego trzeba mieć kulturę literacką, aby się stać kochankiem godnym Salome, teraz czy przed wiekami. Tylko genjusz perwersji mógł ją odgadnąć.

I oto łożnica Salome, wyniesiona pod gwiazdy, ma być apoteozą aktu miłości fizycznej, silniejszej od śmierci. Salome już nie żyje, kiedy dwaj kochankowie, władca i poeta, jednają się z sobą u jej łoża, jako zrównani z sobą samcy, niezasyceni w żądzy. I to niezasycenie chyba ma być tragedją.

Może w sztuce jest coś więcej, ale nie dało się tego dostrzec. I tu jest błąd artysty. Mam wrażenie, że autor zbyt po literacku dzieło potraktował. Sztuka robi wrażenie, że jest trawestacją innych na ten temat utworów, już znanych, zrobioną w domniemaniu, że słuchacz już zna symbolikę postaci i sam sobie ludzi dośpiewa. Tem się różnią koncepcje „literackie“ od poetyckich, że są z książek, nie z widzenia bezpośredniego, że przeto nie mają samoistności, same sobie nie wystarczają.

A potem: za mało w tem dziele poetyckiego wzruszenia tematem, któremu dzieje wyznaczyły miejsce, tak a nie inaczej symbolizujące ważny moment w rozwoju ducha ludzkiego. Zdawałoby się, że nie jest to materjał do zadań artystycznych w guście „Zmartwień pana Hamelbeina“, gdzieby chodziło tylko o tragedję konfliktu romantycznego między starszym panem a poetą. Tragedja z głową św. Jana, jako węzłem, powinna mieć na celu rozwiązanie wiekuistego problemu ducha. Inaczej grozi artyście zarzut, że nie umie sobie znaleźć miejsca ze swoją produkcją na szlaku idej wszechludzkich i że po zbyt wielkie sięga środki do wyrażenia małej myśli.

Tragedja Grubińskiego nosi tytuł „Księżniczka żydowska“. Jeśli ten tytuł ma coś akcentować, to nie uwydatnia tego treść. Ta treść na trzy akty jest zbyt uboga. Jeżeli coś wiąże trzy akty sztuki, to tylko motyw łoża, od początku zapowiedzianego; nie widać natomiast węzła w jakiemś tragicznem założeniu, któreby fatalistycznie parło do katastrofy. Mogło również dobrze skończyć się komedjowo fanfarą zwycięską poety. Sztylet zatruty zdarzył się jak przypadek.

Pomimo wszystko przedstawienie było bardzo interesujące ze względu na brzmienie pięknej prozy Grubińskiego, doskonałą grę artystów i świetną wystawę. Teatr zrobił swoje, rozwinął kunszt nie skażony usterką. Cokolwiek powiedziałoby się autorowi o wadach jego pomysłu, trzeba mu przyznać, że umie być na scenie i że artystom jest z nim dobrze. Może nawet szkodzi jego poezji przerost świadomości scenicznej. Z artystów mogli wysunąć się na czoło tylko p. Kuncewiczowa (Salome), pp. Węgrzyn (Herod) i Leszczyński (Damastes). Kreacja p. Węgrzyna—na podziw piękna.

ZWARJOWANY RELATYWIZM

W TEATRZE Małym wystawiono „parabolę“ w 3-ch aktach Ludwika Pirandello „Tak jest, jak się wam wydaje“.

W miasteczku włoskiem osiada, mianowany sekretarzem zarządu powiatowego, niejaki pan Ponza. Przybył z żoną i teściową po katastrofie trzęsienia ziemi, wskutek której utracił kogoś z rodziny i bodaj własne zdrowie. Z obawy o los żony, którą kochał, dostał podobno zboczenia nerwowego: wydawało mu się, że żona zginęła, a ta osoba, która się za nią podaje, jest kimś obcym. Wmówiono mu, że to druga żona, że właśnie drugi raz się ożenił. Ale matka nie mogła zaprzeć się córki, od której zięć ją odsunął, przeto nieszczęśliwy człowiek wmawiał światu, że staruszka zwarjowała. Ta zaś, nie chcąc psuć reputacji zięciowi, osłaniała tajemnicą jego zboczenie, a ten dla pewności trzymał żonę w zamknięciu.

Taki był dramat rodzinny.

Miasteczko gorzało ciekawością, dlaczego staruszka zamieszkała osobno. I tu się poczyna dramat nowy, narastający nad tamtym rodzinnym. W gniazdo cierpień osobistych na tle życia rodzinnego wdeptuje psychika tłumu. Inteligencja małego miasta, zżyta z sobą jednym rytmem zainteresowań, tłumnie wykonywa swoje prawo poznawania tajemnic. Autor ukazał tę psychikę jako żywioł, który się wdziera do wnętrza duszy ludzkiej, aby wydrzeć tajemnicę z serca ofiary swojej. Ludzie robią to w sposób okrutny, uciekając się do przemocy w imieniu prawa; pomaga im władza przełożona nad Ponzą.

Życie rodziny, prześwietlone wskroś ciekawością ludzką i żądzą ssania dusz, równającą się żądzy krwi w zboczeniach sadystycznych, wije się w bólach przed naszemi oczyma. I to jest jedna strona obrazu, która mogłaby starczyć za dramat okrutnemu autorowi. On jednak tem nie zadawala się. Na tle krwawem zjawiska społecznego, gdzie bohaterem jest tłum, właściwe zaś osoby dramatu ofiarami, zarysowuje problem psychologiczny inny, sięgający w teorję poznania, mianowicie: czy wogóle prawda objektywna jest osiągalna. Autor urządza ze swego widowiska seminarjum psycho-filozoficzne dla publiczności i narzuca jej zadanie: sprobujcie przysięgać, gdzie jest prawda! Patrzycie razem z tym motłochem małomiejskim na fakt i czy nie dochodzicie do wniosku, że—tak czy owak—wszystko jest tylko tak, jak wam się wydaje. Prawdy nikt nie dojdzie.

Ten kłopot umysłowy, sprawiony publiczności, jest trzecim dramatem, nałożonym na tamte i ten pomysł psuje opinję Pirendellowi jako przedstawicielowi cywilizacji łacińskiej i osobiście jako myślicielowi.

Po wszystkie bowiem czasy każdemu sądowi tak samo kwestje stawiają oskarżeni kryminaliści. Ale taki praktyczny, stosowany do człowieka relatywizm, jako teza, czy jest godny twórcy cywilizowanego? Oto pytanie.

Eksperymentowaniem tej tezy doprowadzają nas do obłędu, do wyniszczenia podstaw cywilizacji Żydzi. Pirandello skapitulował przed nimi. Żydzi są kalekami Europy, dla nich psychologja — etologja — filozofja to są trzy odrębne koliska, nawet nie styczne; dla nas są one koncentryczne. Pomimo całego respektu, jaki mamy dla wielkiego talentu p. Pirandella — Polak musi zrobić Włochowi gorzki wyrzut, że pozwala swojej duszy robić dramaty z tego, co jest jedną z największych wartości ducha łacińskiego. Istnieje prawda: tak jest, jak jest. Wolno mu postawić tezę, wyrażoną w tytule, psychjatrze w specjalnym wypadku, ale nie wolno jej uogólniać.

Mistrz Pirandello z trzech zagadnień: psychjatrycznego, społeczno-etycznego i filozoficznego uczynił splot kółek, o siebie zadzierzgniętych, niby łamigłówkę do zabawy. A to jest w gruncie rzeczy krwawe, bo chodzi o człowieka, nad którym nie trzeba się znęcać.

Scena teatru Małego umiała sztukę Pirandella pokazać. Dwie postaci jego ofiar, oscylujących między życiem a kliniką, znalazły inteligentnych przedstawicieli w osobach pp. Broniszówny i Samborskiego.

*

Uwaga ogólna: za wiele sadyzmu w najnowszych utworach. To znak, że za daleko zabrnęliśmy w fizykalność miłości, ciągle uprawianej w sztuce. Odpowiada to wogóle stanowi głodu duchowego, do którego doprowadził materjalistyczny sposób na świat patrzenia. Człowiek się zżera w braku ideału, już znęca się nad sobą. Trzeba wydrzeć go zmysłom i zwrócić duchowi; inaczej straci zmysły.

Z. W.

NA MARGINESIE

„Wiadomości Literackie" z widocznem zakłopotaniem tłumaczą się z faktu umieszczania za pieniądze pochlebnych ocen utworów poetyckich. Oświadczają więc, iż „w „Wiadomościach", jak zresztą we wszystkich (?) pismach na całym świecie, istnieją ogłoszenia poza tekstem i w tekście... a więc z natury rzeczy pomiędzy artykułami redakcyjnemi". Równocześnie jednak, wbrew powyższej tezie, usiłują wyjaśnić, iż wspomniany płatny artykuł... oddzielony był od części redakcyjnej „grubą linją" i odrębnym układem tytułu.

W „Wiadomościach Literackich", których zamiłowanie do sensacji przypomina nieco t. zw. „prasę czerwoną", każdy niemal artykół wyodrębnia się od pozostałych układem tytułu, a w tym wypadku tytuł inkryminowanego artykułu był wyjatkowo skromny, nie rzucający się w oczy, nie reklamowy. Oddzielanie zaś linją artykułów stosowane było w „Wiadomościach" bardzo często, np. w jednym tylko numerze Mickiewiczowskim (z 18 stycznia 1925 r.) pięciokrotnie (wiersz Wittlina, artykuły: L. Kipowej, W. Ledn ckiego J. Kleinera i M. Kridla). Trudno było przypuszczać, że te wszystkie były... ogłoszeniami...

Zabawne wrażenie sprawia natomiast tłumaczenie, że wypadek umieszczenia opłaconych recenzyj był „na przestrzeni przeszło dwuletniej działalności „Wiadomości" zupełnie wyjątkowy". Dziwnie jakoś przypomina to szkolne wypraszanie się od kary: „...Panie profesorze, ja tylko raz... ja już nigdy więcej nie będę..."

„Biuletyn Informacyjny" Min. Spraw Wewn. zamieścił w nr. 84 spis zakazanych przez cenzurę sztuk żydowskich, wymieniając między innemi dwa utwory klasyka literatury żargonowej Pereca. W odpowiedzi na zapytanie współpracownika żydowskiego „Naszego Przeglądu", referent Wydziału Prasowego M. S. Wewn., znany pisarz Jan Lemański wyjaśnił, iż „w utworach Pereca „Gore" i „W starym rynku" znajdujemy cały szereg wyrażeń, obrażających uczucia religijne".

Niedawno prasa żydowska i radni żydowscy domagali się, aby jedną z ulic Warszawy nazwać „ulicą Pereca". Bezczelna rasa!...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. .105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.